

STER

TYGODNIK, POŚWIĘCONY SPRAWOM PAŃSTWA I NARODU

NASZ SUKCES W GENEWIE

SPRAWA NASZEGO stosunku do Ligi Narodów nareszcie znalazła swoje rozwiązanie: Polska otrzymała na okres trzyletni miejsce w Radzie Ligi — i prawo ponownego wyboru na trzy lata, t. zw. prawo reelekcji. Takie załatwienie sprawy, oczywiście, nie zaspokaja naszych ambicij międzynarodowych, ani nie zabezpiecza naszych interesów państwowych na dłuższą metę. Rozumie to i ocenia znakomicie p. Minister Zaleski, skoro uczynił zastrzeżenie co do aspiracyj polskich do miejsca stałego w Radzie L. N. i powyższe rozwiązanie sprawy nie zaskoczyło bynajmniej naszego kierownika polityki zagranicznej.

Kwestja stałego miejsca Polski w Radzie L. N. nabrała ostrości w momencie, gdy poczęto mówić o konieczności przyjęcia Rzeszy Niemieckiej do Ligi. Było rzeczą jasną od samego początku istnienia Ligi, że krąg jej interesów musi objąć i Niemcy — i dopiero ich przyjęcie zakończy naturalną ekspansję Ligi w Europie. Do tego projektu, czysto rzeczowego, przyłączyły się okoliczności polityczne, forsowane i rozdmuchiwane przez Anglję, a argumentujące konieczność przyjęcia Niemiec do Ligi z możliwie największemi honorami. Naturalnie, same Niemcy uważały, że pierwszym warunkiem tych honorów — musi być poniżenie wobec nich Polski, które winno się wyrazić w tem, że Niemcy — jako mocarstwo — wchodząc do Ligi, otrzymują stałe miejsce w Radzie, a Polska pozostaje poza Radą, dokąd wejśćby mogła tylko za zgodą później Niemiec, uczyniwszy na ich rzecz koncesje polityczne. Anglja, powiedzmy otwarcie, nic przeciwko takiemu rozegraniu partji nie miała. Pozostała jednak Francja, no i Polska.

Polska racja stanu wystawiła natychmiast żądanie również stałego miejsca w Radzie Ligi, jako

równowagi wobec Niemiec — i wobec przekonujących argumentów rzeczowych, przemawiających za tem. Rozpoczęła się długa i pełna dramatycznych akcentów walka dyplomatyczna. O przebiegu tej walki pisać nie będziemy, bo jest on powszechnie znany.

Spadek, odziedziczony przez p. Ministra Zaleskiego po p. Al. Skrzyńskim, nie należał do najśłodszych, bo wyrażał się w opinji polskiej w zdaniu: nieuzyskanie stałego miejsca w Radzie Ligi przez Polskę — będzie klęską. Tymczasem zaś, wiadomo było, że wejście Polski w charakterze stałego członka Rady, nigdy nie było traktowane poważnie przez sfery europejskie, ani w Anglji, ani pewno we Francji. Był to jedynie moment taktyczny walki.

P. Skrzyński wytworzył jednakże w kraju taką opinję, że Polska musi natychmiast, równocześnie z Niemcami otrzymać stałe miejsce w Radzie. Obrona tej tezy na gruncie genewskim przybrała zaś takie formy, że wydawało się nieraz wątpliwem wogóle wejście Polski do Rady Ligi. Lansowało się opinję, że tylko p. Skrzyński wygra tę grę. P. Skrzyński jednak odszedł, zostawiając grę zagmatwaną i skomplikowaną przez dezorjentację opinji krajowej co do istoty rzeczy.

Warunki, w jakich pracować musiała obecnie delegacja polska, były bardzo trudne, a jednak rezultat okazał się pomyślny. Obyło się bez reklamy, bez szumnych wywiadów, bez projektowanych koneksyj marjażowych z amerykańskimi miliardkami — wystarczyła cicha, poważna i skupiona praca. Miejmy nadzieję, że ta sama praca wywalczy nam w przyszłości stałe miejsce w Radzie Ligi Narodów.

ZASZCZYT NA KREDYT

PONIEWAŻ POLSKA jest krajem, w którym należy bez końca powtarzać rzeczy, rozumiejące się gdzieindziej same przez się, przeto stwierdzmy, że obdarzenie Polski trzyletnim mandatem do Rady Ligi z prawem reelekcji nie może być tylko powodem do zacierania rąk z zadowoleniem, ale nakłada na nas wyraźne obowiązki w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej. Faktu, że Polska otrzymała kreski ogromnej większości głosujących, nie można jedynie kwitować z ukłonem, jako dowodu zasłużonego uznania; znacznie lepiej powiedzieć sobie, że jest to skredytowanie nam zaufania i że za trzy lata będą państwa, złączone w Lidze, bez żadnych sentymentów sądzić, czyśmy na ten kredyt zaszli, czy nie.

Oczywiście, zgodnie z utrwalającą się tradycją, będziemy skłonni do pozostawienia dyplomacji naszej troski o to, by za trzy lata znów narody przyniosły nam na tacy zaproszenie do Rady. I jeśliby to, uchowaj Boże, nie nastąpiło, to będziemy winić ministerstwo spraw zagranicznych, będziemy piorunować na intrygę Niemiec i Litwy, podejrzewać Anglię, zarzucać każdej kurze politycznej, że krzywo na nas patrzy, ale tylko tego jednego pytania prawdopodobnie sobie nie zadamy: czyśmy też rzetelnym trudem i istotnie zdobyli sobie prawo do stałego posłuchu w Radzie?

Byłem przed kilku dniami na zebraniu, na którym omawiano sprawę udziału polskiego w jednym z przyszłorocznych zjazdów międzynarodowych. Różni mówcy domagali się przedewszystkiem bardzo energicznie, żeby zapewnić wysłannikom naszym odpowiednią ilość miejsc w prezydjum i komisjach zjazdu, by delegaci polscy byli wysłuchani na plenum, by referaty ich były wyznaczone w dobrej porze, by mówili, zanim jeszcze audytorjum zdoła zmęczyć się przemówieniami przedstawicieli innych narodów i t. p. Dopiero znacznie później zaczęto się zastanawiać nad tem, co my będziemy mieli do powiedzenia i czy to będzie dość interesujące, aby usprawiedliwić wysuwanie się na pierwsze miejsca i zaprzatanie swemi elaboratami uwagi zgromadzenia. Taki bywa normalnie porządek myślenia.

Że pragniemy dla siebie wiele, to może być objawem zdrowej ambicji narodowej. Że czując, iż nam jest ciężiej, niż innym—bo gdy ci inni orzą pulchną już ziemię, my musimy dopiero odwaląć ciężkie skiby nowizny — pragniemy, by sąd o nas opierano raczej na tem, co dać chcemy, niż na tem, co chwilowo dajemy, to dla badacza psychologii narodów powinno być zrozumiałe. Ale na terenie aktualnej polityki argumentowanie dobremi chęciami, powoływanie się na dowody historyczne i samochwalcze tyrady, wystarczają na bardzo krótką tylko metę. Jest wielką zasługą ministra Zaleskiego, że swą, w najlepszym tonie dyplomatycznym utrzymaną, taktyką umiał zdobyć dla Polski mandat, który jest w znacznie większej mierze eskontowaniem jej przyszłości, niż nagradzaniem jej przeszłości. Ale trzeba pamiętać, że kredyt międzynarodowy jest bardzo krótkoterminowy i że nasze wstąpienie do rady Ligi jest podpisa-

niem weksla, które obowiązuje nas do najwyższego nateżenia energii, jeśli za trzy lata nie ma być wszem wobec ogłoszona nasza niewypłacalność i jeśli nie ma nam być wówczas brutalnie powiedziane, że ambicje nasze przerastają nasze zdolności. Póki nie byliśmy w radzie, wystarczało nam głosić, że jesteśmy tam niezbędni; teraz musimy *dowieść* cenności swego współpracownictwa.

Zbyteczne wywodzić, że w tej mierze polityka zagraniczna Polski i jej polityka wewnętrzna obracają się na tych samych zawiasach. Najgenjalniejszy minister spraw zagranicznych nic nam nie pomoże w Genewie i nie uzyska tam zaszczytnego stanowiska, jeśli nie będzie reprezentował państwa zmocowanego wewnętrznie i ożywionego twórczym pędem życiowym. W ten sposób, gdyby życie samo nie nakazywało nam bezpośredniego pośpiechu w dokonaniu sanacji stosunków i w podnoszeniu sprawności maszyny państwowej, to uzyskanie mandatu do rady Ligi byłoby zawiadomieniem społeczeństwa, że zwłoka w porządkowaniu i doskonaleniu naszej polityki wewnętrznej grozi nam w rychłym terminie skandaliczną kompromitacją na terenie międzynarodowym.

Na jedno tu pragnę zwrócić uwagę. Sprawę wzmoczenia polskiej wydajności państwowej pojmuję się u nas przeważnie jako kwestję takiego, czy innego rządu. Jest to złudzenie, co do którego zresztą nie jesteśmy w Europie odosobnieni. Wszędzie mniej więcej przenosi się punkt ciężkości pojęć o powodzeniu w życiu na czynniki zewnętrzne, na kapitały materialne i organizację, zamiast szukać go przedewszystkiem w czynnikach wewnętrznych, w nastawieniu duchowym pracującego człowieka. A Detoef dyrektor wielkiego francuskiego przedsiębiorstwa elektrycznego, po powrocie z podróży na studjach do Stanów Zjednoczonych, opisał w numerze sierpniowym *Revue politique et parlementaire* „warunki produkcji amerykańskiej”. Píše tam: „Bogactwami Ameryki są nie tyle jej złoto i surowce; są niemi też jej ludzie i jej metody. Jej działalność jest nie tylko uregulowana wedle innej jednostki, niż w Europie — jest ona całkowicie różna od naszej. Przyjrzawszy się bliżej, widzi się, że względ materialny mało znaczy obok względu moralnego”. I p. Detoef wykazuje następnie, jak energia obywatela amerykańskiego jest nieustannie napięta w kierunku osiągania coraz lepszych wyników pracy, jak wytwórca amerykański nigdy nie oddaje się kwietystycznemu zadowoleniu, lecz nawet gdy osiągnie już wielką rentowność swego przedsiębiorstwa, wciąż jeszcze stara się o rozszerzenie pola produkcji i udoskonalenie swego warsztatu i metod pracy. „Jest to może najbardziej charakterystyczny rys całej Ameryki — ten ciągle wysiłek rozwijających się pomyślnie gałęzi przemysłu, które zamiast ograniczać się do spokojnego zażywania dobrobytu, w jaki opływają, wyteżają myśl na ciągłe przemiany, mające zaspokoić coraz to nowe potrzeby”.

Oto właśnie, czego nam tak bardzo nie dostaje w Polsce: pędu do wychodzenia w wysiłkach po-

nad najbliższe możliwości — zrozumienia, że o ostatecznym wyniku pracy państwowej rozstrzygają nie tyle osobistości przywódców, ile rytm życia zbiorowego. Żaden orzeł nie uczynił ze stada baranów tabunu rozgrzanych koni. Trzeba sobie uświadomić i trzeba to społeczeństwu powtarzać na wszelką nutę, że urzeczywistnienie uzyskanego obecnie prawa reelekcji Polski do rady Ligi zależne jest przede wszystkim nie od tego, czy innego rządu, jaki Polska będzie miała, ale od tego, czy w jakim stopniu jej obywatele przejmą się amerykańskim sposobem myślenia i w każdej dziedzinie życia będą starać się robić naprzód dobrze, a potem lepiej.

Rzecz jasna, że wskazując na wagę roli społeczeństwa w utrwalaniu się wpływu polskiego w Genewie, nie chcemy przez to bynajmniej odwracać uwagi od obowiązków, ciążyących na naszej dyplomacji. Owóż zarzuty przeciw składowi osobowemu naszego korpusu dyplomatycznego, ironiczne uwagi o zdatnościach wielu dygnitarzy w centrali i na placówkach, należą do chleba powszedniego, którym karmi nas publicystyka polska wszelkich odciń. Nie będziemy tu dociekali, czy i o ile za-

rzuty te są słuszne. Sądząc z pozorów, trudno nieparokrotnie oprzeć się wrażeniu, że w służbie ministerstwa spraw zagranicznych wybiło się do-tąd stosunkowo mniej talentów, niż w służbie administracji wewnętrznej i że zagranicą analogiczne placówki dyplomatyczne zajmują naogół ludzie o bardziej błyszczących kwalifikacjach i większych zasobach dokonanej pracy, niż my tego wymagamy. Połóżmy to, ostatecznie na karb młodości naszej dyplomacji. Bądź co bądź jednak, wobec wzmrożonej obecnie — po wyborze genewskim — roli Polski w dziedzinie międzynarodowej, stawianie wysokich wymagań w stosunku do naszych urzędników dyplomatycznych staje się bezwzględny nakazem. P. minister Zeleski, nie będąc mógł, parafrazując znane wyrażenie, powie-dzieć: „róbcie dobrą politykę wewnętrzną, a ja zrobię wam dobrą politykę zagraniczną“ — jeśli nie będzie miał współpracowników, godnych sta-nąć w jednym rzędzie z luminarzami wiedzy, in-teligencji i taktu, jakimi rozporządzają obce mini-sterstwa spraw zagranicznych.

MIECZ. SZERER

B E R N A R D S H A W

G. B. SHAW skończył w lipcu lat siedemdziesiąt. Labour Party obchodziła tę rocznicę bankietem, na którym były premier socja-listyczny p. Ramsay Mac Donald wniósł toast na cześć Shawa. W odpowiedzi swej Shaw strzepnął palcami na swoją sławę literacką i odkrył sekret dwudziestego wieku w tem, że przeżył się na szczęście gust ludzkości do bałwochwalstwa i ot-warła się droga do pozbycia się bałwochwalczego kultu wielkich ludzi, wielkich narodów i wielkich państw. Pozatem G. B. Shaw mówił tylko o soc-jalizmie, jego zadaniach i szansach sukcesu. Na-wet mówiąc — kilka ledwie słów — o sobie, nie zmienił przedmiotu. Wyraził przekonanie, że soc-jalizm zrobił go człowiekiem, i niepomierłą dumę z faktu, że jest socjalistą.

Rząd angielski uczynił, co mógł, aby urodzinom Shawa przydać ponętę politycznego wypadku. Cenzor produkcji radjofonicznych, poczmistrz ge-neralny nie pozwolił na transmisję mowy wielkiego pisarza przez radio, gdy ten odmówił żądaniu władz, które wymagały przyrzeczenia nie dotykania w mowie „kwestij spornych“. Ale skoro nie można wątpić, że źródłem satysfakcji Labour Party z po-wodu liczenia Bernarda Shaw w swoich szeregach jest przede wszystkim jego talent i sława, odpada potrzeba tłumaczenia, że socjalizm Shawa obcho-dzi nas w takiej tylko mierze, w jakiej rzuca światło na jego twórczość.

Nie marzy mi się porywanie się na charaktery-tykę Shawa. Człowiek ten uczynił wszystko, żeby nikt nie ośmielił się przystąpić do jego życia i jego dzieł z etykietą, ustalającą ich sens i wartość. — Ta polityka odstraszenia powiodła mu się nadzwyczajnie dzięki temu, że jest nie tylko znanym publicystą i dramaturgiem, ale i pierwszym kpiarzem swego czasu i że umiał także ze siebie kpić lepiej i okrutniej, niżby to potrafił ktokol-

wiekbądź inny. Powiedział sobie na samym po-czątku swej kariery pisarskiej, że reputację G. B. Shawa robić będzie wyłącznie G. B. Shaw i mo-nopol ten bez widocznego wysiłku utrzymał przez czterdzieści lat. Dlatego reputacja Shawa, narzu-cona światu przez niego samego, jest nie tylko jedyna w swoim rodzaju, ale i jednolita, bo argu-menty czerpie zawsze z jednego i tego samego psychicznego źródła, ze samoznawstwa i samokry-tyki pisarza. Oponent z zewnątrz musiałby się więc znaleźć w daleko gorszym położeniu, skoro-by próbował polemizować ze Shawem, nie mając klucza do wewnętrznych motywów jego twórczości i, narażając się prawie niechybnie na zarzut, że nie rozumie o co chodzi, i na krwawe w nadddatku drwiny. Oto przykład argumentacji Bernarda Shaw: „Istnieje niemądre przekonanie, że autor winien pozwolić dziełom swym mówić za siebie i że ten, który daje do nich wyjaśnienia, jest prawdopodobnie tak marnym artystą, jak ów malarz, cytowany przez Cervantesa, który pod swym obrazem umieścił napis: To jest kogut, — z obawy, żeby widz się nie pomylił. Odpowiedzią na to bezmyślne porównanie jest, że malarz zawsze obraz swój za-opatruje w taką nalepkę. Czemże jest katalog wystawy w Royal Academy, jeżeli nie szeregiem oświadczeń, że: To jest Dolina Spoczynku, to jest Chłód Październikowy, to jest Książę Walji i t. d. Powodem, dlaczego dramaturgowie po największej części nie wydają swoich utworów z przedmowa-mi, jest, że nie potrafią napisać przedmowy, bo robota świadomego intelektualnie filozofa i wy-trawnego krytyka nie należy do zawodu pisarza scenicznego. Naturalnie, robiąc z niezdolności cnotę, albo potępiają przedmowy, jako bezwstydne, albo też ze skromną miną proszą jakiegoś popu-larnego krytyka o dostarczenie przedmowy, jak gdyby mówiąc: „Jeślibym miał napisać prawdę

o sobie, musiałbym się wydać pyszałkiem; jeśli bym zaś napisał mniej, niż prawdę, wyrządziłbym sobie krzywdę i oszukałbym czytelników". Co do krytyka, ściągniętego z zewnątrz, to cóż on ma począc, jeśli nie dać do zrozumienia, że nadzwyczajna zdolność jego przyjaciela, jako dramaturga, ustępuje tylko jego pięknej duszy, jako człowieka. Ja zaś powiadam, poco ma mnie chwalić kto inny, jeżeli ja sam potrafię się pochwalić? Nie mogę powołać się na niezdolność. Pokażcie mi najlepszego krytyka, a skrytykuję go tak, że nic z niego nie zostanie... Powiadają znowu, że taki to a taki, który nie pisze przedmów, nie jest szarlatanem. A ja właśnie nim jestem. Pierwsze fawory publiczności brytyjskiej pozyskałem na wózku w Hyde Parku przy dźwięku trąb i nie była to wcale niechętna ofiara z mojego pociągu do samotności na rzecz konieczności politycznej. Przeciwnie, jestem z przyrodzenia kuglarzem, jak wszyscy dramaturgowie i aktorzy z prawdziwym powołaniem... Nie wstydzę się ani mojej pracy, ani sposobu w jaki pracuję. Lubię tłumaczyć zalety mego dzieła ogromnej większości, która nie odróżnia dobrej roboty od złej. Im to dobrze robi — i mnie to dobrze robi, bo leczy mnie z nerwów, z lenistwa i snobizmu. Piszę przedmowy, bo potrafię; i oddałbym pół tuzina sztuk Szekspirowskich za jedną z przedmów, jakie Szekspir powinien był napisać... W Anglii, jak gdzieindziej istotnie oryginalne dzieło budzi zrazu uznanie zaledwie u garstki — i zyskuje rozgłos tak powoli, że komunałem stało się zdanie, iż genjusz łaknący chleba, dostaje kamień po śmierci jego posiadacza. Lekarstwem na to jest usilna reklama. To też reklamowałem się sam tak dobrze, że stałem się już w średnim wieku osobistością tak prawie legendarną, jak Latający Holender".

Ala i w tym sfinksie można niektóre rzeczy odgadywać. Można odkryć niektóre jego słabości, niektóre w nim sprzeczności; najłatwiej zgadywać jego antypatje.

Lubi dziwić, złościć, straszyć publiczność, lecz równocześnie chce ją przekonywać i uczyć — najczęściej tego, że, co tak zwany zdrowy rozsądek uważa za białe, jest czarne, że, co tylko trąci konwencjonalizmem, wcześniej, czy później okaże się kombinacją podłości i głupoty, że bohaterstwa trze-

ba przedewszystkiem szukać w materjale ludzkim, przez głos publiczny potępionym i odtraconym. Niecierpi faryzeizmu, sentymentalizmu, snobizmu. Ale wyrobił sobie swój własny romantyzm, którego przekonywującej siły dowodzą prawie wszystkie jego powieści i Candida. Kpi z wiedzy, miłości i cnoty. Ale po długim życiu paradowania z ateizmem napisał dramat, który może uchodzić za apologję średniowiecznego katolicyzmu. Jego intelekt, ostry, jak brzytwa, podcina skrzydła jego wyobraźni. Shaw publicysta i krytyk każe romansopisarzowi i dramaturgowi często lekceważyć serce i zwracać się przedewszystkiem do mózgu. Wiara w intelekt obraca w naiwność cały jego cynizm. Przekonany jest mianowicie, że mózgowa świadomość człowieka wytwarza się pod wpływem czytania książek, że błędne przedstawianie ludzkości w literaturze ma moc sugestji, która stopniowo przekształca życie na fałszywą literacką modłę. Największą jednak niespodzianką, jaką Shaw zgótował dla świata, jest to, że wbrew paradoksom, zuchwałstwom, wstrętom i kpinom, jakimi karmi świat, jest w nim powaga, która zmusza do szacunku. Tę powagę daje mu zmysł społeczny, rozwinięty do ostatecznych granic. Troska o dobro publiczne przyniata w nim troskę o sztukę ze szkodą sztuki. Orgje satyry, pasja przeczenia, manja prowokacji istniejącego porządku rzeczy najbardziej istotny mają u Shawa motyw w jego zmyśle społecznym, w namietności służenia ludzkości. Idąc za tą namietnością, Shaw błąka się prawdopodobnie, jak się błąkami wszyscy. Jak wszyscy, okupuje chwile jasnowidzenia chwilami brodzenia w ciemnościach. Niesamowicie przenikliwy mózg czyni jaśniejszymi jego wizje, krótkotrwałszem i zaćmienia, niż są wizje i zaćmienia ludzi zwyczajnych. Jego losem jest dziś i będzie zapewne w przyszłości zostać jednym z wcieleni tajemniczej, odpornej na wszelkie próby analizy, twórczości mózgu. Czy jednak nie ma żadnych pewników w stosunku do Bernarda Shaw? Owszem — jest ich conajmniej cztery. Jest jego ogromny talent, jest wiecznym buntem gorejąca niezawisłość od ludzi i rzeczy, jest nieskalana uczciwość pisarska i jest głód prawdy o przeznaczeniach duszy ludzkiej, niezaspokojony na progu do ósmego dziesiątka lat tytanicznego życia.

WŁADYSŁAW WRÓBLEWSKI

NAJBIELSZY CHLEBEK

(czyli jak wyrzucić stokilkadziesiąt milionów złotych).

OD POCZĄTKU ŻNIW rozbrzmiewają łamy codziennej i perjodycznej prasy echami walki o sposoby realizacji tegorocznego sprzątu. Też rolnika - producenta jest: utrzymać wolny obrót.

Też zaś tych, którzy faktycznie, lub uzurpacyjnie reprezentują „szerokie masy“ konsumentów jest: wprowadzić takie zarządzenia celne, aby cena zboża utrzymała się aż do nowych zbiorów możliwie nisko, choćby miała pozostać niestosunkowo niższą od ceny rynków światowych, choćby miała znów na szwank narazić warsztaty rolne.

Gdyby u nas więcej wsłuchiowano się w mowę cyfr, to nie przechodzilibyśmy do porządku dzien-

nego nad faktem, że w Polsce dwie trzecie ludności żyje z rolnictwa, że tu więc przedewszystkiem są owe „szerokie masy“.

Po paroletnich eksperymentach zrozumiały to również i nasze koła przemysłowe tak głęboko, że na jednej z konferencji z p. Grabskim oświadczyli przedstawiciele przemysłu, iż szczupłych rozporządalnych kredytów lepiej będzie udzielić rolnictwu, anizeli im: tylko bowiem tą drogą w sposób naturalny i trwały dojdziemy do pogłębienia wewnętrznego rynku, a tem samem do likwidacji bezrobocia i przesilenia w przemyśle. Słuszność tej tezy okazała się w całej pełni, po zniesieniu zwłaszcza ostatnich ograniczeń wywozowych.

Chodzi teraz o wielkie rzeczy: zeszłoroczny wspa-
niały urodzaj i gospodarcze podniesienie rolnictwa,
poparte szeregiem szczęśliwych zarządzeń, dały
nam poprawę w przemyśle, czynny bilans handlo-
wy (sam angielski strajk węglowy nie dałby tego)
i stabilizację złotego.

W tym roku atoli sytuacja przedstawia się od-
miennie: u nas urodzaj tylko nieco gorszy od ze-
szłorocznego, natomiast na rynkach światowych
jest poważny niedobór, zwłaszcza żyta, — i znacz-
nie wyższe ceny.

Stąd różne obawy, projekty i żądania.

Pamiętając, że te same przyczyny w tych sa-
mych warunkach muszą powodować te same na-
stępstwa, przypomnijmy sobie pewne zjawiska spo-
łeczno gospodarcze z przed lat kilku, i przypomnijmy
je sobie „przed szkodą“, bo niebezpieczeństwo pow-
tórzenia starych błędów stoi znów przed drzwiami.

Pamiętacie, jak po wyjściu okupantów zaczęły
padać kolejno wszelkie ograniczenia konsumcyjne?
„Szerokie warstwy ludności“ uprzykrzyły sobie og-
raniczenia. Sfery rządzące liczyły się z „nastrojami“
i „momentem psychologicznym“.

Postępowano tak, jakby wyjście okupantów było
równoznaczne z odkryciem jakichś bezpłatnych
i niewyczerpanych zapasów mąki, węgla, mięsa,
spirytusu... Sprowadzano bez opamiętania jedwa-
bie, daktylę, koronki, perfumy, szampana...

Powiedział ktoś bardzo trafnie, że sejm nasz nie
dorósł do praw, w jakie się sam wyposażył. Do-
dajmy, że i naród cały nie dorósł do wolności —
z jakich korzysta. Interpelowany raz o szkodliwy
gospodarczo import pomarańczy, tłumaczył się p.
Grabski w ten mniej więcej sposób: rząd nie może
sam wprowadzać ograniczeń i zakazów, za którymi
nie opowie się większość sejmu. Powtóre: import
pomarańczy jest szkodliwy, ale za wpuszczenie do
siebie polskiego węgla — Włosi żądają, aby Polska
wpuszczała do siebie ich pomarańcze. Czyż jest
jednak jakiś nakaz kupowania pomarańczy i czy
ludność nie może się sama od nich wstrzymać?
Czy muszą w każdym warszawskim podwórku
objadać się pomarańczami dzieci, które dotychczas
bojkotują mydło i grzebień (wyrób krajowy)?

Są ograniczenia, których szerokie masy dziś nie
rozumieją i nie nałożą ich sobie ani same, ani
w osobach swych posłów. Niemniej trzeba pewne
zwietrzałe „święte wolności“ na ołtarzu potrzeby zło-
żyć i poddać się pewnym ograniczeniom, jeśli nie chce-
my stanąć znów wobec klęski gospodarczej, jaką już
raz za czasów niepodległości przechodziliśmy.

Mamy za sobą okres całkowitej socjalizacji pro-
dukcji zboża, okres kontyngentów, reglamentacji
przemiału, zakazów przywozu, zakazów wywozu,
dziś wreszcie wolność obrotu, przywozu i wywozu.

Jakież rezultaty dały te różne systemy?

Socjalizacja produkcji zawiodła z kretesem. Na-
wet częściowy sekwestr, t. zw. „kontyngent“, wy-
woływał sarkania i nadużycia. Zakaz importu
krzywdzi konsumenta, zakaz eksportu podrywa
i niszczy produkcję. Jesteśmy więc co do zboża
na właściwej drodze przy wolnym przywozie, wy-
wozie i obrocie.

Pozostaje atoli otwarta sprawa „urzędowego“
(reglementowanego) przemiału. Sięgnijmy znowu
do cyfr. Wewnętrzne spożycie żyta w Polsce
w postaci mąki i chleba czynnikami kompetentne

obliczają na rok 1926/7 na 4 miliony tonn.
W czasie sporządzania tych obliczeń nie wie-
dziano jeszcze, jak słaby będzie tegoroczny zbiór
kartofli, których niedobór ludność z konieczności
wyrówna zwiększonym spożyciem żyta. Przypuść-
my teraz, że tylko czwarta część tego żyta zosta-
nie zmielona na „luksusową“ 50-procentową mąkę.
(Również i tu będzie w rzeczywistości więcej, bo
wieś coraz mniej piecze razowca i coraz bardziej
kupuje najbielszy „miastowy“ chleb).

Zużyje się więc milion tonn żyta dla utrzymania pół
milijona tonn najbielszej 50-procentowej mąki. Tym-
czasem dla utrzymania tej samej ilości nieco ciem-
niejszej 70-procentowej mąki wystarcza 700.000 tonn.

Różnica, jako plus do wywozu, daje 300.000
tonn, co przy obecnej cenie żyta, przeszło 32 zł.
za 100 kilo, powiększa nam bilans handlowy o 100
milionów zł.! Nie o bagatele więc chodzi, tem-
bardziej, że cyfry rzeczywiste przy ograniczeniu
przemiału okazałyby się jeszcze wyższe, a i z psze-
nicą (przy mniejszych cyfrach absolutnych) rzecz
się ma analogicznie.

Przymusowe ograniczenie stopnia przemiału da-
łoby nam, licząc najostrożniej, 150 milionów zło-
tych więcej na eksporcie zboża!

Zarządzenia ograniczające wprowadziły już różne
państwa, ostatnio Włochy i Francja. Nikt chyba
nie zaprzeczy, że przeciętna stopa życiowa jest we
Francji dużo wyższa, niż u nas — a zasoby i bo-
gactwo narodu chyba także.

Cóż więc stoi na przeszkodzie wprowadzeniu
takich samych zarządzeń u nas? Nie trudności
administracyjne: reglamentację przemiału odziedziczy-
liśmy po okupantach i nowonarodzona, na po-
czekaniu improwizowana administracja polska umiała
sobie z tem dać radę. Tem łatwiej poradziłaby
sobie dzisiaj, gdy jest lepiej wyrobiona i mniej
liczna (tak, właśnie dlatego, że mniej liczna!).
I nie rzekome trudności techniczne: „luksusowy
chleb“ i „luksusowa mąka“ to typowe powojenne
zjawiska. Przed wojną jadalіśmy wszyscy chleb
ciemniejszy, 70-procentowej mąki, którą wyrabiali
wszystkie młyny.

Przy sposobności — zdradźmy genezę tak roz-
wielmożnionej obecnie kwalifikacji najpospolitszych
artykułów, jako „luksusowych“: w okresie inflacji
i współczesnych mu, a siłą rzeczy chybionych
(vide Bolszewja) usiłowań zsocjalizowania naszego
całego życia — były wyznaczane przymusowe ceny
na „artykuły pierwszej potrzeby“. Przedmioty
zbytku nie były, oczywiście, tym przymusem ob-
jęte. Skutek wiadomy: ceny przymusowe były,
ale w całej Warszawie nie mogłeś kupić pary bu-
tów... zwyczajnych. Najmniejszy kopyciarz z przed-
mieścia oświadczał, że ma tylko... „obuwie luksu-
sowe“. Inde irae. Szewcy (i agenci walki z lich-
wą) śmiali się w kułak i porastali w pierze.

Nie przeszkadzają wreszcie i względy hygie-
niczne, bo uczeni fizjologowie, chemicy i lekarze
ustalili już dość dawno i całkiem jednoznacznie, że
chleb z mąki ciemniejszej, niskoprocentowej, za-
wierając więcej fosforu i witamin, jest pożywniej-
szy i zdrowszy od „najbielszego luksusowego“.
Przeszkody pochodzą z dwóch źródeł: pewne
koła polityczno-demagogiczne uważają powrót do
tańszego i zdrowszego, lecz ciemniejszego chleba
za taką samą utratę „zdobyczy proletariatu“, za

jaką uważałyby powrót do pańszczyzny. Drugie źródło jest wręcz przeciwnej natury, bo opór stawiają młynarze i piekarze — notoryczni „burżuę”. Jest zrozumiałe, że swój obliczany procentowo „godziwy zysk” wolą jedni i drudzy obliczać od droższego towaru i większych sum. U młynarzy pozatem wchodzi jeszcze w grę swoista polityka... „otrębowa”. Niemcy, każolując swe rolnictwo, nakładali za cesarstwa (i nakładają za republiki) wysokie cła na przywóz zboża, dając jednocześnie swoim producentom premje eksportowe. Import otrąb dla wypasu bydła pozostaje natomiast wolny. Łatwo się domyślić, jakie skutki dla Polski miała ta niemiecka polityka celna: całe nasze dawne pogranicze roilo się od młynów, przerabiających żyto — i polskie i niemieckie — przedewszystkiem na otręby.

Bogacił się na tem krajowy pograniczny młynarz i pruski rolnik kosztem wszystkich innych warstw. Zagranica i dziś płaci takie ceny za nasze „luksusowe” otręby, że polski konsument nie może się ich dokupić. Więcej nawet: z polskich wysokoprocentowych otrąb, importowanych bez cła, odciągają zagraniczne młyny po raz drugi mąkę... mąkę, która dla naszych wybrednych konsumentów nie jest dość biała!

Nie analizujemy kto, czem i jak wywierał nacisk; dość, że dla zagwarantowania obfitości najtańszego, a jednak najbielszego chlebaka wysunęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych projekty wręcz katastrofalne. Na szczęście z łona lepiej orjentującego

się w koniunkturach i ekonomice „Komitetu Ekonomicznego” padło kategoryczne „non possumus” i niebezpieczeństwo ponownej katastrofy gospodarczej zostało, zdaje się, zażegnane.

Jeśli gdzieś jakiś poszczególny nowobogacki ma chęć i środki po temu, aby opychać się ciastkami z kremem, to rząd nie ma powodu, aby się tem specjalnie interesować. Skoro jednak milionowe rzesze nowo — i starobiedackich będą chciały uprawiać to samo, i to kosztem innych warstw, całego narodu i skarbu państwa — to trzeba się tem zająć i postawić mocne veto!

W nieco podobnej sytuacji znajdujemy się dziś, gdy wyniki tegorocznych zbiorów są już wiadome i w Polsce i w innych krajach. Niewykorzystanie otwierającej się koniunktury byłoby takim samym śmiertelnym grzechem, jakim byłby dziś np. zakaz eksportu węgla.

Przed p. Młodzianowskim otwiera się wdzięczne pole do oddania Ojczyźnie znakomitej usługi: przez technicznie łatwe do przeprowadzenia przymusowe ograniczenie stopnia przemiału z 50 na 70 proc. może powiększyć czynne saldo naszego bilansu o stokilkadziesiąt milionów złotych!

Spożywanie troszkę ciemniejszego, niż nasz obecny najbielszy chlebek — nikomu na zdrowiu nie zaszkodzi, niezamownym da poważną oszczędność (jasne, że chleb niskoprocentowy jest tańszy od wysokoprocentowego), zaś narodowi i państwu ogromnych przysporzy korzyści.

ST.

SEN SREBRNY SALOMEI

TEATR NARODOWY WYSTAWIŁ ostatnio romans dramatyczny Juliusza Słowackiego: „Sen srebrny Salomei”. Jak przystało na pierwszą scenę polską, do wystawy tego dzieła przystąpiono z wielkim szacunkiem i pietyzmem. Cóż kiedy szacunek i pietyzm do dzieła nie stanowią momentów, decydujących dla powodzenia spektakli.

Samo dzieło, jak wszystko, co wyszło z pod pióra Słowackiego, tchnie aż poezją i owem mistycznym pięknem, stanowiącym istotę umysłowości artystycznej wieszczki. Cała scena pełna jest zapachu narcyzów i róż, cały teatr przepojony jest srebrnym księżycu blaskiem, widownia przykryta została płaszczem czaru i trwa przez cały wieczór w sonambulizmie poezji.

Posłuchajcie tylko symfonji języka Słowackiego — jakby kto na tęczy niebieskiej zawieszał girlandy róż i promienie słoneczne — zamiast lirnych strun — naciągał. Cała przepotężna gama dźwięków, od piorunowego jęku do święgotu ptaszków, do much utrapionych brzęczenia. Bezcenne perły mowy polskiej rozsypał mistrz, jak rozrzutny bogacz sypie piasek złoty.

„Oj lro — twoje klawisze
Gdzieś ze srebra dawniej lane,
Nogą pieśni wydeptane;
Jakby stare sęki drzewne,
I kamienie przedcerkiewne,
I zapadłe w dół mogiły!
Świadcza, że pieśni chodziły
Po klawiszach, pieśni chyżeł
I siadały na sen w lirze”

— w srebrnej lirze Słowackiego.

Inna rzecz, gdy mamy mówić o stronie scenicznej dzieła. Ta kwestja jest typowym przykładem, że nawet najpiękniejszy język, język — muzyka, język — woń różana, język — gwiazda podniebna, nie może wlać w dramat „sceniczności”, gdy jej niema w dynamice utworu. I nawet nie sceniczności właściwie, lecz życiowości osób i ich prawdy i prawdy sytuacji, — których scena wymagać musi nawet od... Słowackiego.

Tymczasem wszystkie osoby w „Śnie srebrnym Salomei” są właśnie, jakoby senne widziadła, bo żadna z nich — prócz rzezunia Semenki — nie posiada zarysu skończonego, nie posiada profilu psychicznego, lecz jest poprostu ucieleśnieniem wypowiedzianych precudnych strof mowy autora.

W każdej z osób brzmi jakiś fałszywy ton ludzki, jest niby człowiek, a właściwie niema człowieka, tylko blask srebrny księżycu.

Być może, że taka struktura figur dramatu wpływa z niejasnego założenia: czy utwór jest satyrą, czy satyrą nie jest. Z niektórych słów Wernyhory wnioskować można, iż Słowacki nie porzucił w „Śnie” tradycyjnego swego stosunku do „rubasznego czerepu szlacheckiego”, że na czerep ten rzuca oskarżenie winy za stosunki na Ukrainie, do której zapalił się taką sympatją. Są znowu wyrażenia w mowie Regimentarza, które mówią, iż autor traktował osobę jego pozytywnie, jako wyobraziciela polskości na chłopskich kurhanach dzieńprzańskiego kraju. Ta dwoistość idei przebija zresztą najwymowniej z duszy Sawy, który to jest karmazynem, to kozakiem. Scena zaś takiego rozdwojenia i niezdecydowania linii dramatycznej nie

DYKTATURA I JEJ ŚRODKI

PALMĘ PIERWSZEŃSTWA pod względem metod osiąga oczywiście dyktatura we Włoszech.

Ma ona wszelkie cechy instytucji, opartej na poczuciu siły narodowej i z wielkim aplauzem większości społeczeństwa prowadzi nieubłagana walkę ze zwolennikami dawnego, zmurszałego systemu rządów. Podporządkowano jej całą prasę, unicestwiono opozycję palatyńską, zmieniono oblicze i kompetencje parlamentu i spożytkowano wszelkie idealistyczne porywy na rzecz cezaryzmu ludowego.

Cóżby to rzekł wielki prawnik włoski i humanista, pierwszy bojownik o zniesienie kary śmierci, Cesare Beccaria, gdyby ujrzał dziś pełne przygotowania do ponownego jej wprowadzenia!

Może — zgodziłby się z tym nawrotem w uznaniu konieczności państwowych, i stwierdził, że w danym wypadku ma ona znaczenie nie odpłaty za czyn, lecz broni przeciw czynom. Śledząc rezultaty idei, którą zaszczerpił światu, stwierdziłby również, że w wielu innych państwach, nawet tam gdzie kara śmierci nie istniała wogóle, przyjęto ją w obecnym okresie jako pozostałość wojny; pozostałość skuteczną w walce o utrzymanie państwowego stanu posiadania.

Gdzieindziej jest ona już rzeczą powszednią, we

Włoszech jednak projekt czyni taki wyłom w zasadach prawa karnego, jaki w zasadach prawa państwowego uczynił pamiętny rok 1924.

Kto też obserwuje rozwój instytucji prawa państwowego we Włoszech, ten z łatwością zauważy, jak zdecydowane są tezy rządu skierowane ku osłabieniu wszystkich tych ośrodków i komórek w państwie, które przeciwstawieniem się woli rządu mogłyby osłabić wytyczne jego polityki.

Najważniejsze z nich wyrażone są w normach z ostatnich miesięcy r. 1925 i pierwszych roku bieżącego. Należy tu przedewszystkiem ustawa z 26 listopada 1925, na podstawie której pracownicy państwowi, prowincjonalni i komunalni mogą należeć tylko do tych towarzystw, związków i instytucji, które są zatwierdzone przez władze rządowe. Wykroczenie przeciw temu przepisowi powoduje usunięcie winnych ze służby. Ta ustawa postanawia również, że każdy pracownik państwowy obowiązany jest zawiadomić swoją władzę przełożoną, czy i do jakiego stowarzyszenia należał lub należy. Niewykonanie pociąga za sobą zmniejszenie uposażenia i to w odpowiednim stosunku do każdego dnia zwłoki. Następnie, ustawa z 24 grudnia 1925 r. upoważnia rząd do odwołania ze służby tych pracowników państwowych (lub woj-

znosi. Nie idzie tu o prawdę życia, idzie o prawdę sceny.

Sama akcja również pozbawiona jest bezpośredniości, bo wszak główny pokład dramatu staje się poza sceną, t. j. bunt chłopski i walka Polscy z tym buntem. Na scenie pozostaje tylko romans, lecz ponieważ jego winowajcy są ludzie pospolici i niedociągnięci co do charakteru — więc i romans, jako taki, nie budzi większego zainteresowania. Salusia — to lunatyczka, Leon — to płaski uwodziciel, wygodniś, bez silniejszego nawet zarysu honoru męskiego. Wskutek tego ich romans na scenie — to najzwyczajniejszy „romans pokójówki z paniczem”.

Druga para romansowa — to Księżniczka i Sawa. Ale, zważywszy, że jest to historia „romansu z własną żoną” — ma ona charakter akcesoryjny, drugorzędny, pomocniczy.

Najwięcej zadatków na dramat ma miłość Semenki do Salusi, gdyż jeden Semenko w całej sztuce ma zadatki na bohatera dramatu, raz dlatego, że jest sprężyną głównej akcji — rzezi i buntu — a po wtóre, że on jeden z całej plejady osób działających, ma krew i namietność, ma żywioł i wyraźną konsekwencję dramatyczną. Lecz Semenko — to także epizod.

Rozbita w ten sposób jedność dramatyczna „romansu” — i jego epizodyczność — nie może utworzyć akcji scenicznej skoncentrowanej, a więc nie może wywrzeć na widza głębszego wrażenia. Być może również, że i psychika współczesnego widza polskiego zmieniła się tak znacznie, że trudno mu odczuć te „minione dzieje”.

Co do obsady ról, to trzeba przyznać, że Teatr Narodowy nie ma szczęścia. Wszyscy artyści robili co mogli, byli poprawni, kunsztowni, zgrani — a jednak nie dali tego, co dać byli powinni, bo role nie leżały naogół w polu ich wielkich talentów.

Frenkiel (Regimentarz) był z krwi i kości polakiem, ale nic nie miał w sobie ani z wodza, ani z rozpaczającego ojca, ani z kresowego królika. Powtórzyła się historia z rolą Wojewody z „Mazepy”.

Zahorska (Księżniczka), doskonała w słowie i geście, nie dała stylu, bo zawiodły ją warunki polityczne: księżniczka to kapryśnica, prototyp Racheli z „Wesela” Wyspiańskiego, ale... wiotka.

Leszczyński (Sawa) świetnie mówił wiersz Słowackiego i spajał go z gestem, ale nie miał roli, w której mógłby się popisać.

Węgrzyn (Semenko) doskonale grał, lecz zgubił gdzieś muzykę wiersza.

Gromnicka (Salomea) nie miała w sobie ani luno srebrnej, ani pieśni, ani poezji; realizm drapowany w pozę poezji.

Solski (Wernyhora) wielki kunszt, ale realizmu.

Dekoracje — może i oryginalne — ale nie godzące się z nastrojem „Snu”.

A wszak cały romans to wielki sen, który się ciągle śni nieszczęśliwej Salusi — i to tłumaczy epizodyczność akcji, osób, nastrojów. Ze snu nie można robić nigdy realizmu.

Jeszcze jedno: dlaczego w Teatrze Narodowym tyle zawsze magistrackiej darmochy?

CZESŁAW PECHE

skowych), którzy z powodu manifestacji, czy to w służbie, czy też poza służbą, nie dają gwarancji wiernego wypełniania swych obowiązków, bądź też znajdują się w stosunku do linii politycznej rządu w warunkach rozbieżności przekonań. Odwołanie następuje na mocy dekretu króla, na wniosek kompetentnego ministra, wzgl. gdy chodzi o urzędników wyższych, na podstawie uchwały rady ministrów. Odwołanie ze służby nie zmniejsza praw emerytalnych, a nawet połączone jest z redukcją okresu wyczekiwania potrzebnego do nabycia tych praw. Doniosłe znaczenie posiada również norma z dnia 31 stycznia 1926, na podstawie której obywatel włoski w wypadku dopuszczenia się (lub zamiaru) za granicą czynu, mogącego bądź zaburzyć porządek publiczny we Włoszech, bądź zaszkodzić interesom, bądź też osłabić dobre imię i powagę Włoch, traci wszelkie prawa cywilne i polityczne wtedy nawet, gdy czyn sam przez się nie stanowi przestępstwa.

Ustawa z 31 grudnia 1925, regulująca działalność pracy periodycznej, następnie niezwykle ważne przepisy dotyczące organizacji pracy, będą przedmiotem odrębnego omówienia. Ogólnie da się o nich powiedzieć, że uderzają bez pardonu w niewzruszalne dotąd doktryny, stwarzając, zwłaszcza w zakresie ochrony pracy, własny indywidualny system.

System ten zastosowany być może, oczywiście, tylko do włoskiego ustroju ekonomicznego. Reformy mocą swych logizmów rozbijają istniejące organizacje socjalistyczne, pozbawiając je również broni, przez zakaz strejków (i lokautów).

Wszystkie z wymienionych praw mają jeden zasadniczy cel: ukrócenie cugli indywidualizmowi, który dzięki właściwościom charakteru południowców przeradzał się nieraz w czynny opór przeciw niepopularnym zarządzeniom rządu. Dziś wybujały indywidualizm musi podporządkować się władzy państwowej, a wszelkie czynne wystąpienia mogą mieć miejsce jedynie na rzecz tej władzy, ściślej, na rzecz obecnej władzy rządowej. Dlatego też odzywają się głosy, które określają system rządów we Włoszech, jako skrajnie reakcyjny i przypisują mu biały terror w rozmiarach, które porównać można jedynie ze stosunkami w Rosji.

Lecz cokolwiekby mówić, to zaprzeczyć się nie da, że polityka włoska jest polityką żywą — aczkolwiek bezwzględna w przeprowadzaniu pewnych zamierzeń; jest polityką opartą na znajomości psychologii większości narodu, i dlatego nie można jej określać, ani jako reakcyjnej, ani jako modernistycznej. Jest ona polityką włoską.

Przepisy, odnoszące się do urzędników, wywołały w prasie europejskiej wiele hałasu. Zarzucano, że rząd chce pozbyć się ludzi niewygodnych i dlatego łamie tradycyjne normy, regulujące od wielu wielu lat służbowy charakter urzędników w królestwie.

Nie szukajmy daleko. Artykuł 54 polskiej ustawy o służbie cywilnej, uchwalonej w roku 1922 przez Sejm demokratycznej Rzeczypospolitej, upoważnia radę ministrów (nie Prezydenta) do przeniesienia urzędnika w stan nieczynny wzgl. na emeryturę, o ile zajdą okoliczności nie pozwalające ze względu na dobro służby na dalsze piastowanie przezeń zajmowanego stanowiska. Artykuł

ten, z którego każdy prawie z rządów korzystał, jest przecież bardziej rygorystyczny od owego rzymskiego odpowiednika. Daje bowiem władzy swobodę oceny, czy i jakie okoliczności wymagają odwołania ze służby, nie wymagając by były one wyrazem zmanifestowania pewnego względem władzy stosunku.

Lecz jakże liberalne są w Polsce stosunki prasowe, w porównaniu z przepisami włoskimi. Tam wymaga się zatwierdzenia osoby odpowiedzialnego redaktora przez władzę rządową, która ma prawo odwołać zatwierdzenie lub nawet usunąć od redakcji osoby, które dwukrotnie były skazane za przestępstwa prasowe. Oczywiście, że od takich orzeczeń odwoływać się można do władz wyższych, lecz fakt pozostaje faktem: Polska jest krajem, gdzie w chwili obecnej znaczna część prasy buduje swoją egzystencję na opozycji do rządu — we Włoszech prasy opozycyjnej niema.

Która z tych dwóch metod jest lepszą, pokaże czas. We Włoszech rozmach w działalności organów państwowych umacnia w ludności poczucie narodowej siły i napędza optymizmem. Ma on znaczenie zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Jeżeli nawet tu i ówdzie zamierzenie spali na panewce — to zawsze będzie z tego pewien pożytek: poruszenie.

Wczoraj zatarg z Niemcami, który skończył się zgodą; dzisiaj na skutek zbrodniczego zamachu jednostki groźny podmuch gniewu w stronę Francji i szczęk broni w nadgranicznych garnizonach. Wszystko to porusza opinię, daje ujście temperamentom i kończy się na tem — że zapalone żagwie gasną w lazurowych wodach Lemanu — gdzie już gaszono przed kilkunastu miesiącami płomienie, przyniesione z wybrzeży greckich.

Cała działalność rządu i wszystkie szlachetne porywy, których ośrodkiem jest dusza Włocha, mają swe źródło w potężnej sugestji posłuchu i zaufania do dyktatora. Na tej dyktaturze mamy dowód, że tylko wola silna, narzucająca się i nieustępliwa, wola świadoma celów, jest zdolna rozwiązać dziś zagadnienie porządku państwowego i zementować rozpadające się siły wewnętrzne.

Nowoczesna dyktatura jest uzupełnieniem mowy państwowej o jedyne, pełne koncentracji słowo: rozkaz.

Słowo to jest wynikiem rozbieżności między obecnym systemem parlamentarnym a istotą ustroju społecznego, dążącego do podporządkowania i hierarchji. Chociaż zmieniły się hasła i ludzie, choć dziś odbywa się wszystko w interesie narodu a nie dynastji, to jednak jak świeże i aktualne są słowa głębokiego filozofa i mędrca Mikołaja Machiavella, który czterysta lat temu z górą pisał swemu księciu:

„Ci, którzy dzielnością do godności książęcej dochodzą, muszą wielkie zwalczać przeszkody, lecz gdy je zwalczą, wówczas bez trudu już piastują godność. Trudności pochodzą z konieczności tworzenia nowych urządzeń, niezbędnych przy budowie i zabezpieczaniu państwa. A niema rzeczy najeźonej większymi trudnościami, mniej rokującej powodzenia, niebezpieczniejszej w wykonaniu, niż zamiar wprowadzenia do kraju nowych urządzeń. Reformator napotyka bowiem wrogów w tych

wszystkich, którzy na starych urządzeniach dobrze wychodzili, a w tych, którzy dobrze wyjdą na nowych, znajduje zaledwie życzliwych obrońców...

Chcąc słuszny mieć sąd o tych rzeczach, należy dobrze poznać, czy owi nowatorzy stoją o własnej sile, czy też zależą od innych: to jest, czy dla wykonania swego przedsięwzięcia potrzebują prosić,

czy też mogą zmuszać. W pierwszym wypadku zawsze źle kończą i nie dochodzą do niczego; lecz jeśli polegają na własnej sile i działać mogą z użyciem przymusu, wówczas rzadko spotyka ich niepowodzenie".

H. GR.

W A L K A O I D E A Ł Y

WIELCY UTOPIŚCI socjalni, snując swoje marzenia o szczęściu całej ludzkości, ulegali potrzebie, głęboko tkwiącej w naturze człowieka. Potrzeba ta musi być zaspakajana przez oderwanie się od wadliwej rzeczywistości i przeniesienie się, bodaj myślą tylko, w krainę wymarzoną, gdzie wszystko dzieje się inaczej i lepiej, niż na tym „padole łez i płaczu”.

W przeciwieństwie do zwykłych, miernych i, niestety, licznych marzycieli o „niebieskich migdałach” i analogicznych „bezzprzedmiotowościach”, utopiści w marzeniach swoich stworzyli istne arcydzieła potężnej wszechobejmującej miłości bliźniego.

Ztąd nieprzeparty urok tych marzeń, ztąd religijna niemal ekstaza tych, co się poddali wpływowi tych koncepcji, czerpiąc z nich nadzieję na lepszą przyszłość świata, czerpiąc otuchę i wiarę w człowieka.

Aczkolwiek w środowisku ludzi swojej epoki utopiści stanęli odrazu w pośród skłębionych antagonyzmów, napotykając na zorganizowaną niechęć ludzi praktyki, ludzi realnych, obawiających się, że marzenia te osłabiają tylko energję życiową, nie dając żadnych realnych korzyści — pamięć tych ludzi otoczona została aureolą, jaką stworzyć może tylko nieklamana żywiołowa miłość bliźniego, która była hasłem ich twórczości.

Pierwsze utopje socjalne nie miały długiego żywota i przemijały po nieudanych próbach urzeczywistnienia raju na ziemi, rzadko kiedy przetrwać zdołały swych twórców, lecz miejsce starych zajmowały inne, aby w dalszym ciągu budzić nadzieję, dodawać otuchy w walce życiowej i przyzwyczajając stopniowo ludzkość do tego wiecznego znicza miłości, jakim była każda kolejna utopja socjalna.

Ludzkość znalazowała się do szczytnych ideałów i trudno nam nawet wyobrazić sobie epokę, która by nie miała swoich braci Grakchów, lub swego Fourier'a.

Z powstaniem naukowych teoryj ekonomicznych ludzie nauki zmuszeni byli poddać analizie ścisłej te koncepcje marzycieli socjalnych, które potraçały o najważniejszą bodaj w życiu ludzkim dziedzinę stosunków gospodarczych.

Utopje oczywiście nie wytrzymały tej próby ogólnowej, nie ostały się wobec metodycznej krytyki naukowej, lecz tak potężna była siła miłości bliźniego, co opromieniała te wszystkie koncepcje, iż w badaniach teoretyków wyczuć się nieraz daje po przez suche formułki logiczne jak za rozwianem marzeniem. Rodbertus np. stara się jak najdelikatniej przywoływać ludzi do trzeźwości, oględnie bardzo układa swoje „prawa ekonomiczne”,

pozostawiając drzwi, prowadzące do marzeń na wpół niedomknięte... W tym właśnie okresie w szeregi teoretyków ekonomicznych wstępuje Karol Marks, genjusz złowrogi społeczności europejskiej.

W genialnie logicznym umyśle tego fanatyka utopji mgliste koncepcje marzycieli przetwarzają się, łącząc w cudowny sposób z naukowymi formułkami teoretyków ekonomji społecznej.

Utopja nabiera ciała i kształtów realnych, zyskuje grunt pod nogami: powstaje potężna teoria marksizmu...

Lecz jednocześnie ludzkości odjęty zostaje ideał, oparty na miłości bliźniego!

Pod tchnieniem złowrogiej potęgi umysłu semickiego szczytne marzenia zadziwiająco zmieniają oblicze. Hasła miłości ustępują miejsca hasłom nienawiści, uznanej za uczucie pożyteczne, nawet konieczne, podtrzymywanej, pielęgnowanej, propagowanej i rozdmuchiwanej...

Marzyciele, niepoprawni Don-Kiszoci ludzkości trafili w potrzaski, wiedzeni na tory logiki Marksa, ugrzęźli w bagnie skrajnego materializmu — ci, co pragnęli w idealizmie znaleźć ukojenie dla duszy, znękaney cierpieniem bliźniego.

Trzeba było dopiero krwawej tragedji rosyjskiej, aby ludzkość z przerażeniem, uderzywszy się głową o mur, zorientowała się, że została okradziona z ideału. Z licznych komentatorów Marksa dopiero Lenin potrafił sprowadzić genialną logikę swego mistrza na tory nieubłaganej logiki życia i przekonać ciekawych, że droga leżąca na zetknięciu się dwu tych logik prowadzi do absurdu.

To też konserwowane z pietyzmem mauzoleum Lenina w Moskwie stało się mogiłą marksizmu, w każdym razie marksizmu rozumianego, jako oparcie ideału socjalnego o twardy grunt teorii naukowej.

Ludzkość jednak nie może pozostać bez ideału...

Na miejsce starego, stanąć musi nowy — „le roi est mort, vive le roi”.

Przeżywamy obecnie okres „interregnum”. Sytuacja się nie wyjaśniła... Odzywają się liczne głosy twierdzące, że ideał stary nie umarł, że żyje i ukazuje się wiernym pod innym nazwiskiem, lecz głosy te, coraz mniej znajdują posłuchu: ludzkość, a przynajmniej elita myśląca, ma dość materializmu, dość nienawiści, dość „walki klasowej”, chcemy czegoś lepszego, chcemy ideału prawdziwego, pięknego, „szczytnego”, któryby jak dawniej, dodawał otuchy i napawał wiarą w człowieka i w lepszą przyszłość.

Narazie trudno się zorientować, kto zasiądzie na opuszczonym tronie, kto dotrze do osieroconych serc szlachetnych marzycieli i do żadnej czynu,

łaknącej sprawiedliwości i usunięcia krzywdy młodzieży naszej...

W każdym razie już coś się szykuje, mnożą się oznaki, że zbliża się do nas z utęsknieniem wypatrywany przez niestowarzyszone grono szlachetnych: Nowy Ideał.

Czeka tylko na swego Jana Chrzyciela, aby się objawić światu i wziąć w posiadanie masy, czeka na umysł genjusza, któryby dał mu potężny fundament teorii logicznej i wyprowadził do walki zwycięskiej ze zmruszałymi szczątkami ideału starego i usunął z drogi naśladowców i samozwańców, ogłaszając urbi et orbi śmierć niepowrotną tego, który zniknął ze świata w krwawej posoce.

Przyśli adepci czekają na hasło, nie wiedząc, czy hasło to, które ma wyzwać świat cały z grzęzkiego topieliska materializmu klasowego, wyjdzie z grona francuskich profesorów, usiłujących stworzyć nową koncepcję „solidaryzmu” społecznego, czy padnie z otoczenia człowieka, który we Włoszech dokonał czynu wielkiego, czy wreszcie wyłoni się z kłębowiska do ostateczności napiętej w Anglii walki klasowej, gdzie przywódca Trade Unionu Wilson-Hawelock wraz z kolegami rzucił myśli założenia „Ligi pokoju przemysłowego”, któryby miała za zadanie protestowanie i zwalczanie doktryny klasowego ugrupowania i klasowej wojny, a w miejsce tego usiłowanie zjednoczenia wszystkich członków społeczeństwa do współpracy około dobra publicznego.

P. Hawelock Wilson sądzi, „że należy mieć wiarę w życie narodowe, że wszyscy mają wzajemny interes we wzajemnym dobrobycie, że żadnej części społeczeństwa nie może stać się powodzić, podczas gdy inne są w nędzy i że prawdziwa droga do pomyślności musi prowadzić przez powszechną współpracę i dobrą wolę”.

Jest to głos tem cenniejszy i tem więcej znamienity, że pochodzi z ust robotnika, a więc z ust przedstawiciela klasy społecznej, która do niedawna jeszcze w swoich ideałach socjalnych, nawet w ujęciu najświetlejszych swych przedstawicieli, przyznawała sobie bezapelacyjnie pierwsze miejsce w hierarchji społecznej, z całą bezwzględnością stawiając nogę na karku innym klasom swego społeczeństwa.

Szlachetna myśl ludzka, która tworzy szczytne ideały ludzkości, ta która najboleśniej odczuła uderzenie głową o mur leninizmu, najwidoczniej ocknęła się i poczęła tworzyć na nowo.

Nowy ideał społeczny jest w drodze; jeszcze się nie ujawnił konkretnie, nie odsłonił swego oblicza, lecz gdy przyjdzie, znajdzie grunt przygotowany i zostanie przyjęty radośnie przez najszerze warstwy przesyconej materializmem i „walką klasową” ludzkości.

W. KRZYWICKI

IDEA ZWIĄZKU PAŃSTW

3)

Co się tyczy kierowania ludzkości ku jej przeznaczeniom absolutnym przez iszczenie prawa moralnego postępu, przedstawia się tutaj jedna tylko droga, również nakazująca; jest to droga kierowania ku odkryciu prawdy absolutnej i dobra absolutnego w kierunkach odnośnych dwóch stronnictw politycznych poznania i uczucia, albo prawa ludzkiego i prawa boskiego i zawarowania tego odkrycia od zamachów już nie ze strony wrogów jawnych, albowiem z temi poradzi sobie Państwo, lecz ze strony wrogów tajnych, niewidzialnych, których przewrotnym zamiarem jest zniweczenie postępu ludzkości, a tem samem absolutnych jej przeznaczeń. Otóż dla skutecznego założenia takiego kierownictwa ludzkości, środkiem nakazującym jest zaistnienie nowego zrzeszenia ludzi, które stanowić będzie Unję Absolutną, będącą spełnieniem dla dwóch innych zrzeszeń moralnych. — Mogą istnieć tedy 3 zrzeszenia moralne, t. j. mające cechę konieczności nakazującej, absolutnej, mianowicie:

1-o Zrzeszenie jurysdyczne, Państwo, które ma za przedmiot założenie czasowe moralności, t. j. ziszczenie sprawiedliwości w jej skutkach materialnych, czyli ziszczenie postępów moralnych ludzkich.

2-o Zrzeszenie etyczne, Kościół, które ma za przedmiot założenie duchowe moralności w zasadach umysłowych, czyli ziszczenie maksym moralnych ludzkich.

3-o Zrzeszenie mesjaniczne, Unja Absolutna,

która ma za przedmiot kierowanie ludzkości ku przeznaczeniom jej końcowym, t. j. ziszczenie odkrycia prawdy absolutnej i dobra absolutnego na ziemi.

Jeżeli władza w Państwie sprawuje się koniecznie przez przymus prawny, zaś w Kościele przez prostą dyscyplinę etyczną, to władza w Unji Absolutnej sprawować się ma przez cenzurę mesjaniczną, zmierzającą do złączenia moralności z jej celem końcowym, a przeto nie może ona rozciągać się ani do wprowadzania, ani do wykluczania członków ze swej społeczności, stanowi sprzymierzenie i odbywa się w imieniu ludzkości. Unja Absolutna winna mieć za przedmiot swój tylko prawa, zwłaszcza prawa absolutne, i zakres jej działania sprowadza się do prawodawczości, to znaczy, z pośród różnych układów, jakie istnieją między trzema elementami wszelkiej władzy społecznej, t. j. między prawami, wolnością i przymusem, ten układ elementarny, gdzie wchodzi same tylko prawa i gdzie są wyłączone przymus i nawet wolność, stanowić ma pod mianem prawodawczości władzę mesjaniczną Unji Absolutnej. Tym sposobem władza Unji Absolutnej, zamykając się w jednym tylko elemencie ośrodkowym praw, jest całkiem niezawisłą od wszelkiej innej władzy społecznej, albowiem nie wyobraża ona przez to w człowieku nic innego, jak jego rozum absolutny. Władza ta przewyższa nawet władzę etyczną kościoła, która, obejmując dwa elementy, — prawa i wolność — dopuszcza przez wpływ ostatniego z tych elementów wykład wolny objawienia, albo prawa, podczas gdy we władzy mesjanicznej Unji Absolutnej, przy zamknięciu się w jednym elemencie — w prawach — to

CO SIĘ DZIEJE W KASIE CHORYCH?

O stosunkach w Warsz. Kasie Chorych dawno już krążą różne wieści. Nadesłany nam artykuł z kół zainteresowanych drukujemy, jako ciekawą ilustrację stosunków, panujących w tej instytucji.

REDAKCJA

GOSPODARKA naszych kas chorych wogóle, a kasy warszawskiej w szczególności, daje znakomitą lekcję poglądową, jak najpiękniejsza w zasadzie instytucja może być spaczona, zdyskredytowana i zohydzona, gdy rządy w niej zostaną powierzone czynnikom zgoła ku temu nieprzygotowanym. Że urzeczywistnienie na naszym gruncie doniosłej idei ubezpieczenia na wypadek choroby stało się klęską społeczną i przekleństwem warstw pracujących, o tem aż nadto dobrze przekonać nas mogą głosy zadowolenia miejscowości, dotychczas nieobjętych przez ogólne Kasy Chorych, z powodu odroczenia wprowadzenia ich na lat 10; następnie głosy energicznego protestu i samoobrony przed tem przymusowem dobrodziejstwem ze strony rozmaitych ugrupowań pracowniczych (kolejarzy, tramwajarzy), a wreszcie głosy prasy lekarsko-zawodowej, periodycznej i codziennej, która, za wyjątkiem jedynie pism codziennych, będących na garnuszkach rządzących w Kasie partyj, coraz częściej, coraz głośniej i coraz natarczywiej poczęła bić na alarm, aż głosy pojedyncze złączyły się w chór jednolity protestu

przeciwko nadużyciom w kasach i nawoływania o sanację tej instytucji.

Napaści prasy, bynajmniej nie są głoślowe, ani podyktowane animozją partyjną, lub niedocenianiem idei ubezpieczeń społecznych; przeciwnie, zarzuty oparte są na faktach, podawanych do wiadomości publicznej z całkowitem poczuciem odpowiedzialności i na niezachwianej wymowie cyfr.

A więc, rzućmy okiem na co Kasa wydatkuje leżące ciężkim brzemieniem na pracowniku, przedsiębiorcy, a pośrednio na całej wytwórczości polskiej, olbrzymie miljonowe sumy, rozporządzając niemi nb. bez uprzedniego ułożenia budżetu i doprowadzając do przeżywanego obecnie przez Kasę kryzysu finansowego.

Przedewszystkiem zauważyć się daje karygodna hojność w szafowaniu grosza publicznego przy zakupach domów, placów i t. p. obiektów za cenę znacznie przewyższającą cenę rynkową. Głośną jest np. afera zakupu domu przy ul. Mławskiej, lub 18-o morgowego placu pod Dęblinem, za który zapłacono podobno przyjacielowi dyrektora Kasy 80.000 zł.

znaczy w jednej tylko prawdzie moralnej i absolutnej, znika wszelka wolność wykładu, jak to jest z prawdami matematycznymi. Jasnem jest, że przy takim ograniczeniu władzy Unji Absolutnej, wpływ jej nie może w żadnym razie rozciągać się na jakibądź akt społeczny i że może wywierać się jedynie na prawa, albo warunki ogólne tych aktów. Unja przybierze naprzód nazwę antynomjalnej, a to ze względu, że bliższem jej zadaniem będzie rozwiązanie antynomji społecznej, jawiącej się w walce stronnictw prawicy i lewicy i grożącej ruiną cywilizacji, oraz oznajmienie wielkich celów kierunków opatrnościowych tych stronnictw; unja ta antynomjalna wykaże niesprzymierzalność tych stronnictw, a przeto niemożliwość pogodzenia dotychczasowymi środkami dwóch tych stronnictw politycznych, wykrywając źródło tego antagonizmu w samym rozumie ludzkim. Unja antynomjalna, stwierdzając zupełną równość praw dwóch stronnictw społecznych poznania i uczucia, albo prawa ludzkiego i prawa boskiego, obok z ich niesprzymierzalnością, wykreśli tem samem prawdziwe warunki społeczne urządzenia politycznego państw i przygotuje przejście od obecnych rządów konstytucyjnych, przeżywających kryzys, ku przyszłym rządów antynomjalnym, rozwiązującym ten kryzys.* — Zmaganie się dwóch stronnictw, dwóch odłamów społecznych o różnym typie umysłowości zajmowało wprawdzie umysły niektórych innych myślicieli (Carlyle, James), którzy upatrywali w problemacie tym węzeł najważniejszych zagadnień

współczesnych, lecz jeden tylko Wroński sięgnął do prąródła tego sporu i dał jego rozwiązanie.

Że zagadnienie to antynomjalne wiąże się z zagadnieniem międzynarodowej solidarności, stwierdza nie tylko wyżej podane rozważanie rozumowe, lecz też doświadczenie, mianowicie zaistnienie 4-ch odrębnych międzynarodówek (Liga Narodów z siedzibą w Genewie; Międzynarodówka Socjalistyczna z siedzibą w Londynie; Międzynarodówka Komunistyczna z siedzibą w Moskwie; Międzynarodówka Radykalistyczna, świeżo powołana w Boulogne nad Morzem). — Przechodzimy teraz do rozpatrzenia warunków powstania związku, albo, jak Wroński nazywa federacji, państw *).

Chociaż federacja państw, która ma za cel rękojmię ich praw, albo ich niezależność wzajemną i która służy do utworzenia społeczeństwa powszechnego, jest również konieczną, jak było koniecznem przedtem złączenie się ludzi w państwo dla rękojmi ich praw odnośnych, albo ich wolności i dla utworzenia społeczeństw indywidualnych, wszelako federacja taka absolutna Państw w którejby znalazły one pełną rękojmię swych praw, jest jeszcze niemożliwą dlatego, że, dopóki absolutnie jest odkryty, nie znamy jeszcze zasad niemylnych, niezbędnych dla tej władzy federalnej realnej.

dok. nast.

P. CHOMICZ

*) Piękny i głęboki artykuł w tym przedmiocie zamieścił prof. Wład. Leop. Jaworski w swej Ankiecie o konstytucji z dnia 17 marca 1921 r. (ob. str. 411—414).

*) Weszła u nas w użycie niewłaściwa nazwa Ligi Narodów tego zrzeszenia międzynarodowego, które winno nazywać się Związkiem Państw. Uzasadnienie tej ostatniej nazwy wynika z poprzedniego wykładu, albowiem państwo, nie naród, jest zrzeszeniem jurysdykcyjnem, mającem za zadanie materialne iszczenie postępów moralnych, toteż, podmiotem prawa międzynarodowego jest również państwo, lecz nie naród.

Taką samą hojność widzimy przy opłacaniu czynszów dzierżawnych za najęte lokale, oraz ich remontu: w r. 1925 pierwsza pozycja wynosiła 472.000 zł. (I) a druga 225.000.

Obok tej szczodrości z cudzej kieszeni widzimy rzucanie grosza publicznego wprost w błoto, a do takich wydatków bezwzględnie należy zużytkowanie 200.000 zł. na przygotowanie do wyborów delegatów do Rady Kasy w kwietniu r. b. które to wybory następnie wskutek zabiegów zarządu Kasy zostały bezprawnie odłożone do jesieni. A ileż w podobny sposób wyrzucono pieniędzy na różne nieużyteczne pomysły z zakresu „organizacji” Kasy? Istną beczką Danaid jest również administracja K. Ch., pochłaniająca około 20% dochodu, składająca się w przybliżeniu z 1.500 osób, t. j. prawie trzykrotnie przewyższająca liczbę lekarzy.

Jakim balastem dla instytucji jest ta armia urzędnicza, świadczy najlepiej sprawozdanie zarządu Kasy za r. 1925 w oświeceniu „Lekarza Kasy Chorych”, redagowanego przez d-ra Dyonizego Hellina. Weźmy parę cyfr: „Wydział kontroli firm przy 34 pracownikach zrobił 30.000 adnotacji, pobrawszy za to 166.000, t. j. 5,54 zł. za 1 sprawę, wypuszczając 1 notatkę na 3 godziny”. Idźmy dalej: „Biuro zakupów wykonało 2.530 zamówień; ponieważ pracownicy tego biura otrzymali 20.000 zł. wynagrodzenia, za napisanie więc jednego zamówienia Kasa wypłaciła 8 złotych, a wypisanie jednej notatki wymagało 5 godzin pracy”.

Co za straszny kontrast z pracą lekarza kasowego, który przeciętnie na godzinę przyjmuje 7 chorych, a w ambulatorjum grochowskim aż 15! Mimo to personel administracyjny, a zwłaszcza wyższy jest uprzywilejowanym dziecięciem zarządu Kasy i wbrew wyraźnemu brzmieniu ustawy 19 maja 1920 r. o ubezpieczeniach na wypadek choroby w chwili kryzysu finansowego przeprowadza się oszczędności kosztem lekarzy i lecznictwa Kasowego, pozostawiając nietkniętymi zbędne, zdaniem rzeczoznawców, stanowiska administracyjne. „Głos codzienny” nazywa Kasę Chorych wprost „przybytkiem cnót rodzinnych”, bo pracownicy biurowi składają się często z całych rodzin członków Zarządu. Najlepiej ilustruje ten stan rzeczy pismo „Lekarz Kasy Chorych”, załączając do № 12 rysunek, przedstawiający „drzewo genealogiczne” zarządców Kasy.

Nepotyzm, protekcjonizm partyjny, jako główne czynniki, decydujące o stanowisku pracownika w Kasie, doprowadziły do upadku moralności, co znajduje swój wyraz chociażby w malwersacjach, stale ujawnionych w tej instytucji. I czy może być jakaś nadzieja na polepszenie tych stosunków, dopóki tolerowany jest taki stan rzeczy, że prezes Zarządu W. K. Ch. p. Koralewski piastuje jednocześnie godność prezesa Okręgowego Związku K. Ch., wiceprezesa Państwowego Związku K. Ch., oraz członka Rady Ubezpieczeń Społecznych przy Ministerstwie Pracy, czyli, że pozostaje kontrolerem samego siebie. Taki absurdalny stan rzeczy nie jest zresztą wykluczony nawet przy układzie stanowisk administracyjnych w K. Ch.

W stosunku do lekarzy Zarząd stosuje bezwzględne metody zwalczania ich samodzielności i wolności ich zawodu. Łamanie umów, grożenie lokautem, represje względem krytycznie zapatrujących się na działalność zarządu jednostek, obdarzanie łaskami „uległych” — oto są metody, zmierzające do uczynienia z lekarzy podległego zarządowi kasy, bezwolnego zastępu urzędniczego. Powstające na tem tle scysje pomiędzy lekarzami, a zarządem, z jednej strony obciążają budżet kasowy w postaci wypłacania odszkodowań i należności bezpodstawnie i bezprawnie zwalnianym lekarzom, z drugiej zaś, wprowadzając lekarza w stan niepewności, obawy, zgnębienia i zdenerwowania, obniżają wartość okazywanej w tych warunkach pomocy lekarskiej.

Dla całokształtu dodać należy, że Kasa Chorych, korzystając z przysługujących jej ulg podatkowych, zakłada własne fabryki, podkopując byt wielu przedsiębiorstw, interesom których rzekomo miała służyć.

Gospodarując w ten sposób pieniędzmi ubezpieczonych, cóż Kasa daje im wzamian? Legendarne uzdrowisko, gdzie dostawszy się cudem ubezpieczony jest traktowany jakby z łaski. Okólniki naczelnego lekarza Kasy, d-ra Grodeckiego o naczynianiu kąpiele wiślanych zamiast kąpiele mineralnych, jaknajtańsze lekarstwa, oblewanie się siódymym potem przy wystawianiu w różnych ogonkach, naukę cierpliwości przy odbieraniu zasiłków, a wreszcie kilkominutową poradę przemęczonego i poniżanego w swej godności zawodowej lekarza!

Podług słów jednego z pism lekarskich dewizą W. K. Ch. jest „drogo, a źle”. Zapędzony w kozi róg ubezpieczony bierze, co mu dają, i również w kozi róg zapędzony lekarz daje, co mu każą. A cóż robią władze nadzorcze? Okręgowy Urząd Ubezpieczeń jest bezsilny wobec stałego ignorowania przed Zarząd Kasy jego zarządzeń, a Komisja rewizyjna jest jedynie Komisją malowaną.

Czas najwyższy, by czynniki miarodajne wzięły w kuratelę tę niepoczytalną instytucję. A środki sanacji, leżą w poddaniu działalności kas ścisłej surowej kontroli drogą mianowania Komisarza urzędowego w oddaniu spraw lekarzy i lecznictwa kasowego wyłącznej kompetencji Dyrekcji Jeneralnej Służby Zdrowia.

Przedewszystkiem zaś społeczeństwo powinno dbać o to, aby ster instytucji został powierzony ludziom, bardziej ku temu powołanym, niż przedstawiciele Zarządu obecnego. Najodpowiednieszymi dla tej misji ludźmi mogą być jedynie przedstawiciele z inteligencji, którzy dzięki wysokiemu poziomowi wykształcenia, szerokości pojmowania zagadnień społecznych oraz niezależności od pęt partyjnictwa, mogą stać się czynnikiem, wnoszącym prąd odżywczy do instytucji i, nadając jej odpowiedni kierunek, postawić na należytej wysokości.

MARJAN D.

PLANTACJE ZA WSZELKĄ CENĘ

W POSZUKIWANIU nowych tańszych źródeł produkcji bawełny surowej, zwrócono w Anglii w ostatnich latach baczniejszą uwagę na wschodnią połać Transwaalu, Kraj Swazi, oraz Kraj Zulusów.

Przedsięwzięto badania terenowe, wysłano biegłych, którzy zwiedzili dokładnie te okolice i oto w wyniku ogłoszono za najczęściej nadający się do urządzania plantacji bawełnianych Kraj Zulusów, a mianowicie jego część północną. Olbrzymia to jest przestrzeń, całkowicie leżąca na nizinie. Cały Kraj Zulusów poszczerbiony jest wąwozami. Płyną w nich wielkie i rozlewne rzeki Mkuzi, Umsunduzi i Hluhluwe, oraz inne pomniejsze. Granicami tego kraju są łańcuchy górskie o potężnych, pojedynczych szczytach, których wielkość tylko niewiele gór przewyższa na świecie.

Wysokie, a rozległe przełęczce pomiędzy szczytami pozbawione roślinności, a częstokroć nawet i źródeł, zaludnione są przez nieliczne szczepy, należące do narodu Zulusów, jak Mandhlakazi, Nxumalo i Mngomezulu.

Plemiona te prowadzą myśliwski tryb życia na swych niedostępnych przełęczach. Bo też cały kraj do niedawnych jeszcze czasów był prawdziwym rajem dla myśliwych, zjeżdżających tu, aby zapolować na grubego zwierzę. Była to dzika puszcza, niezaludniona przez nikogo i niezamieszkała prawdopodobnie nigdy.

Tylko od czasu do czasu doliny wielkich rzek, zarośnięte nieprzebytym gąszczem krzewów, stanowiły przytułek dla człowieka. Tu, w tych wąwozach, w dżungli, w której żółto kwitnące krzaki mimozy płaczą gałęzie swe z ciemnymi i dziwaczniemi „drzewami febrowemi“ o zupełnie żółtych liściach, kryły się niekiedy setki zbiegów.

Tradycja, przechowująca się wśród Zulusów mówi, że czasami całe szczepy uciekały w niedostępne doliny od strasznych kar, jakie zostały wydane na nie z królewskiego Kraalu. Pogoń Dingeano albo Czaczwayo, monarchów zuluskich, władców życia i śmierci nie odnajdowały nigdy tych zbiegów. Ale do Kraalu nie powracali już nigdy. Zabijała ich straszliwa malarja.

I ten właśnie kraj, całe porzecze Mkuzi i Hluhluwe uznano za wyjątkowo dogodny dla plantowania bawełny. Komisja uznała tereny za dobre dla Europejczyków. Przeprowadzono więc koleje żelazne, pobudowano farmy i wreszcie ogłoszono apel, nawołujący rolników do imigracji.

Wprawdzie zwracano uwagę komisji na straszliwą malarję, która niejednokrotnie już dziesiątkowała śmiałych kolonistów, którzy tu próbowali się osiedlać. Nie zwracano na to uwagi. Anglia potrzebowała bawełny. Cały świat potrzebował bawełny i chciwy był wyników pracy odważnych plantatorów-osadników, którzy podejmą się uprawy.

I osadnicy, zwabieni szumną reklamą, zachwalaną żyźnością gruntu, nadzieją dużych zysków wreszcie, poczęli napływać.

Ziemie podzielono na działki i sprzedano imigrantom. Cena jednego akra wahała się od 15 do 30 szylingów. Osadnicy wykarczowali ziemię, wy-

trzebili dziką dżunglę i tam, gdzie jeszcze niedawno kwitły mimozy i „drzewa febrowe“, zaprowadzili wzorowe plantacje bawełny.

Pierwszy zbiór jednak czy to wskutek surowości gleby, czy też z innych powodów, nie dał pożądanego plonu. Osadnicy nie zrazili się tem i próbowali dalej. Drugi rok uprawy pochłonięło wiele wysiłków, a granice plantacji nawet rozszerzono.

Niestety, rok ten był niezwykle dżdżysty. Takich deszczy dawno już nie pamiętano w Kraju Zulusów. Plantacje uległy zupełnemu zniszczeniu. Opady w wielu punktach wynosiły od 40 do 60 cali w przeciągu miesiąca. Farmerzy jednak dalej siali bawełnę.

I oto rok bieżący, a trzeci z kolei, przyniósł im znów fatalną klęskę. W roku ubiegłym była powódź, w bieżącym zaś straszliwa kilkumiesięczna posucha zniweczyła nadzieje plantatorów.

Dziś wszyscy ci dzielni pionierzy są zrujnowani. Większość z nich, kupując działki, postawiła wszystko na szali. Znaczne zasoby utonęły w ziemi. Przytem cena działek była dość wygórowana. Farmerzy zubożeli doszczętnie, a zdrowie ich nadszarpane straszne warunki, w jakich musieli prowadzić egzystencję. Dwaj groźni sprzymierzeńcy — wyčerpanie i malarja przerzedziły ich szeregi.

I plantatorzy mają obecnie żal do rządu, który zwabił ich tam nadzieją ułudnych zysków. Były to obietnice pośrednie. Ale angielski rząd Północnej Afryki nie wykonał nawet swych bezpośrednich obietnic.

Przed osiedleniem obiecywano imigrantom, że pożyczki specjalne zostaną im udzielone na urządzenia zbiorników, na irygację. Podobno obietnice te wyszły z ust dostojników państwowych, w całem tego słowa znaczeniu odpowiedzialnych. Żadna z tych obietnic nie została dotrzymana. Dziś ludzie ci pozostali na bruku, straciwszy grosz, pracę i zdrowie.

Wobec tych bezowocnych prób, dalsze próby plantacji bawełny zostaną najprawdopodobniej zaniechane, a na kamiennym ołtarzu chciwości i dumy, pozostanie złożona ludzka ofiara.

Liczne przykłady historyczne wskazują, że W. Brytania przy dążeniu do osiągnięcia swych celów nie liczy się bynajmniej z materiałem ludzkim. Wszak w ciągu wojny ostatniej flota angielska z morza, a piechota i artylerja z lądu długo szturmowały cieśninę i półwysep Gallipoli.

Bezkuteczność wysiłków była widoczna. Ciężsina zwycięsko opierała się wszelkim atakom. Posiadała zbyt silne fortyfikacje naturalne.

Ale upór Wielkiej Brytanji był jeszcze większy. Szturmowano bezowocnie dalej. Wreszcie po zatopieniu wielu okrętów i zatraceniu nieprawdopodobnej wprost ilości oficerów i żołnierzy, pełnych poświęcenia, bohaterskich i dzielnych, odstąpiono od myśli wzięcia niezdobytej cieśniny.

Taki sam identycznie fakt zaszedł w Kraju Zulusów, gdzie po trzyletnich próbach i unieszczeniu licznej rzeszy śmiałych plantatorów, porzuca się plany plantacji bawełnianych.

Z A P I S K I

MINISTER SKARBU KLARNER W WYCZERPUJĄCEM i doskonale opracowanym exposé uzasadnił prowizjum budżetowe na IV kwartał r. b. Z danych przedstawionych przez ministra, wynika, że osiągnięta została równowaga budżetowa zarówno w kończącym się, jak i w zbliżającym się kwartale. Przyczyniło się do tego głównie zwiększenie wpływów z monopolów, z kolei i zaległości podatkowych. Wogóle sytuacja finansowa państwa polepsza się, co wyraża się w stabilizacji waluty, we wzroście pokrycia banknotów Banku Polskiego, w dalszej poprawie bilansu handlowego i w ogólnym ożywieniu się życia gospodarszego. Jedynie niepokojącym objawem jest wzmagająca się drożyzna, z którą rząd nie zdołał uporać się dołychczas. Ale walka ze wzrostem cen, według zapewnienia ministra skarbu, będzie przeprowadzona z całą energią i konsekwencją zarówno w obronie siły kupczej złotego i realności budżetu, jak i w interesie masy spożywzców.

MIMO TAK POKRZEPIAJĄCYCH ZAPEWNIENIA i bezwątpienia wielu pomyślniejszych objawów na terenie naszego życia gospodarczego, ani jedne ręce nie złożyły się na sali sejmowej wokółku dla p. ministra skarbu. Izba z lodowatym chłodem przyjęła gorące zapowiedzi p. Klarnera, a jedynym człowiekiem, który mu gratulował dobrej istotnie mowy, był p. prezes ministrów Bartel. Dla galerji uznanie to nie stanowiło żadnej sensacji, ale dla „wtajemniczonych” w wewnętrzne tarcia, rządu na tle budżetowym — powinszowania premiera świadczyły o niezwykłym sukcesie ministra, atakowanego przez cywilny i wojskowy organy prasowe p. Marszałka Piłsudskiego. Czy te powinszowania oznaczają wzmocnienie stanowiska ministra skarbu — pokaże najbliższa przyszłość. W każdym bądź razie, można przypuszczać, że ze strony Sejmu żadnemu nie grozi niebezpieczeństwo. Wprawdzie nikt z członków komisji budżetowej nie chciał podjąć się referowania budżetu i trzeba było z urzędu przydzielić ten referat posłowi Kościłkowskiemu, następcy premiera na stolcu prezesowskim Klubu Pracy; wprawdzie przy debacie komisyjnej przedstawiciele wszystkich ugrupowań kolejno oświadczały, że nie będą głosowali za prowizorium budżetowym, obiecując powstrzymać się od głosu, albo wręcz wotować przeciw; ale z tego wcale nie wynika, żeby preliminarz miał być odrzucony, a rząd zniewolony do dymisji. Do naszych zwyczajów parlamentarnych należy używanie zrazu gromkich słów i pogrozek; żeby następnie zgodzić się na wszystko w imię „konieczności państwowych”. Nie należy więc pierwszych gniewów brać tragicznie. Rządowi nic nie grozi, a niebezpieczeństwo zawisło jedynie nad głowami ministrów którzy z budżetu mają związek pośredni, z ekonomiką państwową zaś — żaden: na ministra spraw wewnętrznych uwzięła się prawica i socjaliści, przeciwko ministrowi oświaty spiknęli się znów prawicowcy i żydzi. Czy pp. Młodzianowski i Sujkowski wytrzymają ten nacisk z dwóch stron — zobaczymy niebawem.

LIST OTWARTY P. WŁADYSŁAWA GRABSKIEGO do p. Marszałka Sejmu poruszył gniazdo os. Dotknął on posłów ze wszystkich czterech kątów Izby: z prawicy, z lewicy, z centrum i z mniejszości narodowej. Zawrzało i zakotłowało się. Solidarność zawodowa poruszyła nawet tych posłów, których nie łączy koleżeństwo klubowe z zaatakowanymi. Nie jesteśmy kompetentni w tym sporze o monopol zapalczany między byłym premierem i ministrem skarbu — a czterema parlamentaryzami. Wydaje się nam, że zasadniczo rację ma p. Grabski, chociaż ferwor polemiczny zmusił go do zbyt szerokiego zarzucania prywaty przeciwnikom. Zresztą nie potrzebujemy ich bronić; sami się bronią w długich memorjałach do p. Marszałka — mają do tego prawo i obowiązek. Listy ich, zarówno jak i pismo p. Grabskiego, mogły być opublikowane w prasie. Czy potrzeba je było odczytywać z trybuny w pełnej Izbie? Czy p. Marszałek, który nie podał urzędowo do wiadomości Sejmu listu p. Grabskiego, miał słusne powody do uczynienia z czterech odpowiedzi na niego aktów urzędowych, wniesionych do stenogramu? — To są pytania, na które narzuca się odpowiedź przecząca. Czuł to sam Marszałek, zastrzegając, że odczytywanie prywatnych listów z trybuny nie może być precedensem na przyszłość. Ale pocóż robić takie wyjątki? Czyż teraz każdy poseł, zaatakowany poza Sejmem, nie będzie mógł domagać się, by replika jego rozległa się z wyżyn trybuny Sejmowej? A przy tem wszystkim jedna okoliczność już raczej natury humorystycznej: Marszałek nie pozwolił na odczytanie czterech odpowiedzi w pełnym oryginalnym brzmieniu. Upřednio ocenzurował tekst, skosił go, a więc nawet nie przekazał potomności autentycznego dokumentu.

ANTOKOL, PIĘKNIE POŁOŻONE WIEZIENIE Wileńskie, zaczyna się pomału opróżniać. Niedawno wyszedł z niego generał Jaźwiński, teraz wpuszczono gen. Malczewskiego. Obiegają pogłoski, że wkrótce ma nadejść kolej na gen. Rozwadowskiego. To zwalnianie przed ukończeniem śledztwa generałów bez żadnej kaucji, po czterech miesiącach więzienia, rzuca charakterystyczne światło na naszą sprawiedliwość wojskową. Według pojęć prawnych cywilów byłaby nie do pomyślenia, takie nagłe przejście od najdalej idącego środka zapobiegawczego — od trzymania pod kluczem — do zupełnego puszczenia na wolną stopę bez żadnej gwarancji. Rodzi się podejrzenie, że albo początkowe więzienie czteromiesięczne było niepotrzebne, albo obecne uwolnienie jest lekkomyślne. Sądzymy, że raczej pierwsze przypuszczenie odpowiada prawdzie.

WSTĄPIENIE NIEMIEC DO LIGI NARODÓW i fakt, że ich przedstawiciel rozsiadł się na stałym fotelu w radzie Ligi, jest zanurzeniem drąga w każdą liczną zagadnięć międzynarodowych. The Economist zwraca uwagę, że najważniejszym ze wszystkiego jest, iż „przystąpienie

Niemiec do Ligi i wejście w życie traktatów loca-
reńskich usuwa największe przeszkody z drogi,
prowadzącej do rozważenia sprawy rozbrojenia.
Ona to jest najbliższem wielkiem zagadnieniem,
a jasne, że ogromne znaczenie posiada przytem
okoliczność, iż Liga podejmie je, mając szeregi
swe wzmocnione przez przyłączenie się jedynego
wielkiego państwa, które jest rozbrojone“.

Jak wiadomo, pojęcie rozbrojenia jest bardzo
względne. W szczególności zaś, gdy chodzi o Niem-
cy. Może więc twierdzenie znakomitego tygodni-
ka londyńskiego, że nareszcie Liga przygarnęła do
swego łona bezbronnego baranka i przez to jest
bardziej teraz ukwalifikowana do rozwiązywania kwe-
stji pokojowej obronności państw, jest niezupełnie
ściśle. Można by też mieć wątpliwości, czy *Economist*
równie uważałby sprawę rozbrojenia za dojrzałą
do rozważania, gdyby Anglja nie leżała het na za-
chodzie, za kanałem, ale bardziej na wschodzie
Europy, tak jakoś na granicy państwa, które ani
nie ma zamiaru przystępowania do Ligi, ani —
dalibóg — nie rozbraja się.

Ale przy sposobności: co sądziłby *Economist*
o rozszerzeniu dyskusji i pomówieniu o rozbrojeniu
nie tylko w Europie, ale także np. w Azji?

JEDEN ZE WSPÓŁPRACOWNIKÓW TIMES'A,
p. St. Graham, wybrał się w podróż do po-
łudniowo wschodniej Czechosłowacji. Opisując
w feljetonie stan Rusinów na t. zw. Rusi Karpa-
ckiej, stwierdza trudności, jakie lud ten napotyka
w pielęgnowaniu swej narodowości. „Kładzie mu
się po prostu wciąż w głowę, że musi zdecydo-
wać się być prawdziwym i wiernym obywatelem
Czechosłowacji, mieć czeski język za swój język
cywilizowany i czeskie książki za literaturę... Jeśli
warunki polityczne i geograficzne pozostaną te sa-
me, to mało jest wątpliwości, że w miastach
czzechizowanie proletariatu dokona się zwolna, ale
stanowczo. Bo ze wszystkich nowych państw —
pomimo zarzutów, słusznie i stale zwalczanych —
Czechosłowacja okazuje najwięcej humanitarności
i taktu w pochłanianiu swych mniejszości i wiele
robi się dla pozyskania Rusinów“.

Jak to do wszystkiego trzeba mieć szczęście!
Gdyby tak Polska chciała „humanitarnie i z tak-
tem“ pochłaniać swe mniejszości, jakżeby pewnie
obruszył się na nią p. St. Graham, a wraz z nim,
ileżby krzyku narobiono na całej londyńskiej Fleet

Street, gdzie w każdym domu mieści się co naj-
mniej jedna redakcja jakiegoś pisma.

KONFERENCJA IMPERJALNA, GROMADZĄCA
wszystkich przedstawicieli części składowych
imperjum brytyjskiego, zbierze się w przyszłym
miesiącu w Londynie — pierwszy raz po szeregu
lat. W kołach angielskich oczekują jej z wielkiem
napięciem, graniczącem może z lekkim niepokojem,
jako że uwidoczni się na niej ewolucja, jaką od-
bywa stosunek dominjów do metropoli, a która,
jak wiadomo, idzie w kierunku coraz większego
usamodzielniania się wyrosłych już cór. Przewo-
dnicstwo w dążeniach emancypacyjnych obejmie
prawdopodobnie Kanada, gdzie przed kilku dnia-
mi wybory do parlamentu dały większość libera-
łom, opowiadającym się za bardzo daleko idącym
rozluźnieniem węzłów zależności.

Historja ostatnich wyborów do parlamentu ka-
nadyjskiego jest bardzo ciekawa. Po ostatnich
wyborach rząd spoczywał w ręku liberałów, rozpo-
rządzających jednak pod wodzą p. Mackenzia Kin-
ga, bardzo słabą i bardzo niepewną większością.
Istotnie, przed kilku miesiącami, po ujawnieniu
się kompromitujących wydarzeń w zarządzie cel,
rząd p. Kinga otrzymał wotum nieufności i miał
do wyboru albo ustąpienie, albo rozwiązanie stają-
cego mu oporem parlamentu. Rząd wybrał to
ostatnie i zażądał od gubernatora — dostojnika
tego mianuje, jak wiadomo, Londyn — zgody na
rozwiązanie izby. Lord Byng odmówił jednak ze-
zwolenia i powierzył misję utworzenia gabinetu
przywódcy mniejszości konserwatywnej p. Meighe-
nowi. Atoli zaledwie nowy rząd stanął przed par-
lamentem, został obalony w głosowaniu, a wów-
czas lord Byng udzielił przywódcy konserwatywne-
mu tego, czego odmówił leaderowi liberalnemu:
pozwolił mu rozwiązać izbę.

Ten postępek gubernatora wywołał silne poru-
szenie wśród części społeczności kanadyjskiej.
Zarzucano lordowi Byngowi stronność i wysunię-
to hasło, by odtąd wybór gubernatora był uzależ-
niony od zgody dominjum. Ostatecznie zeszlody-
godniowe wybory przyniosły porażkę p. Meighe-
nowi i oddały władzę znów w ręce p. Mackenzie
Kinga, który wraca do rządu znacznie wzmocnio-
ny i z tem większą siłą będzie mógł na konfe-
rencji imperjalnej reprezentować liberalną politykę
emancypacyjną.

NA EKRANIE TYGODNIA

PRZED ZAMKNIĘCIEM BIEŻĄCEJ SESJI SEJMU ROZ-
patrywane będzie tylko prowizorium budżetowe na
czwarty kwartał, traktat gwarancyjny z Rumunją oraz us-
tawa o podatku wyrównawczym. Ta ostatnia jedynie w tym
razie, jeżeli komisja zdąży przedstawić sprawozdanie.
Sprawozdanie Najwyższej Izby Kontroli Państwa, nadesła-
no w tym roku jako manuskrypt postanowiono wydruko-
wać poczem dopiero poddane zostanie obradom.

DZIĘKI ZNACZNEMU POWIĘKRZENIU PRACY KOLEI
państwowych stały się one w roku bieżącym źródłem
dużych dochodów skarbu. Ogólny naładunek towarów, prze-
wiezionych kolejami wzrósł znacznie więcej niż ilość ła-
dowanych wagonów, co stanowi znaczne zwycięstwo w tej
dziedzinie.

SYTUACJA BANKU POLSKIEGO ULEGŁA ZNACZNEJ
poprawie. W d. 10-go września zapas złota i walut wy-

nosił 228 milionów złota, czyli o 101 milionów więcej niż
w czerwcu. Obieg banknotów na d. 1-go września osiągnął
sumę 560 milionów złotych, czyli o 200 milionów więcej
niż w maju.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA DONOSZĄ O WIELKICH ZAMÓ-
wieniach jakie otrzymały tamtejsze huty żelazne. Za-
mówienia pochodzą z Ameryki Południowej oraz z państw
z Dalekiego Wschodu. Oprócz tego otwierają się widoki
na eksport wysokich gatunków polskiego żelaza do Fin-
landji, Estonji i Lotwy. Ta ostatnia tylko potrzebuje wed-
ług obliczeń 5.000 — ton żelaza.

RZĄD RZPLITEJ UDZIELIŁ STOCZNIOM GDAŃSKIM
zamówienia na budowę statków. Jednocześnie otrzy-
mano zamówienia firm prywatnych. W związku z tem stocz-
nia gdańska poczęła przyjmować nowych robotników. Ilość
bezrobotnych w Wolnem Mieście opadła z 16.000 na 12.575.

PREZYDENT GDAŃSKIEJ RADY PORTU PUŁKOWNIK de Loes stwierdził, iż konieczne jest znaczne rozszerzenie i zmodernizowanie portu gdańskiego. Ruch okretowy i towarowy wzrósł tak dalece w ostatnich latach, z powodu wywozu węgla oraz przywozu rudy żelaznej, że obecne urządzenia portowe są zupełnie niewystarczające. Rozbudowany port stanie się nowym źródłem dochodów, które dzielone będą między Polskę a Gdańskiem.

WEDŁUG DONIESIEŃ PISM BERLIŃSKICH NA KONFERENCJI ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Rumunii poruszono sprawy ściślejszej współpracy gospodarczej między temi dwoma państwami. Podobno Rumunja pragnie zaciągnąć większą pożyczkę na rynku niemieckim, względnie amerykańskim przy pomocy Niemiec.

TRAKTAT ZAWARTY PRZEZ POLSKĘ Z JUGOSŁAWIĄ jest układem przyjaźni i arbitrażu. Pierwszy artykuł stwierdza trwanie obustronnych przyjaznych stosunków, w drugim oba rządy wyrażają zgodę na osiągnięcie porozumienia w zagadnieniach polityki zagranicznej, dotyczących obu państw, artykuł trzeci ustala, iż w razie międzynarodowych trudności w sprawie polityki ogólnej oba rządy natychmiast osiągną zgodę. Traktat ten ma ważność w ciągu trzech lat od daty podpisania.

W OBCHODZIE NIEPODLEGŁOŚCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH w zagłębiu węglowym Wilkeslarra (Persylwenia) wzięli udział również i przedstawiciele Polski. Wygłoszono szereg przemówień, w których podkreślono znacznie przyjaźni polsko amerykańskiej. W obchodzie tym brało udział przeszło 50.000 osób.

MARKIZ DE ESTELLA WYSTOSOWAŁ DO AMBASADORA Hiszpanji w Paryżu telegram, którym obala twierdzenie kilku dzienników paryskich, że do Francji zostali wysłani specjaliści agencji celem śledzenia zbiegów politycznych hiszpańskich, ukrywających się we Francji.

W WENECJI ZNIEWAŻONO W TYCH DNIACH CHORĄGIĘ francuską. Uczynili to faszyci, drąc ją publicznie na strzępy. Rząd Mussoliniego nakazał wszczęcie natychmiastowego dochodzenia w tej sprawie.

MIEDZY BELGIĄ A JUGOSŁAWIĄ ZOSTAŁ ZAWARTY traktat handlowy na zasadach jak największego uprzywilejowania przedstawicieli obu narodów.

DWA BRYTYJSKIE BIPLANY WOJENNE VICKORS I VICTORIA, które udały się z Kairu do Adenu, pod dowództwem komandora „Król Floty Powietrznej“, bez żadnego wypadku do Port Sulenu.

W ZWIĄZKU Z OSTATNIM ZAMACHEM NA ŻYCIE MUSSOLINIEGO, policja rzymska zrewidowała przeszło 600 domów i aresztowała 350 osób. Podobne rewizje i aresztowania miały miejsce również we wszystkich większych miastach Italji, gdzie także aresztowano większą ilość podejrzanych.

NAD NASZYM KARTELEM STAŁE OBRADUJĄ OBECNIE w Paryżu przedstawiciele ciężkiego przemysłu metalowego Francji, Niemiec, Belgji i Luxemburga. Pewne trudności nastrożają żądania Belgów, którzy pragną zwiększyć ich kwoty miesięcznej z 265.000 do 290.000 ton.

STRASZNA EPIDEMJA TYFUSU PANUJE W HANOWERZE. Ogółem zanotowano 1.414 wypadków zasilnięcia. 594 mężczyzn, 623 kobiety oraz 140 dzieci znajduje się w szpitalach. Dotychczas zmarło 40 osób.

BELGIJA PRZEŻYWA OBECNIE CIĘŻKI OKRES STAGNACJI. W ciągu roku bieżącego zarejestrowano 469 wypadków bankructwa. W tym samym okresie czasu, to znaczy od 1-go stycznia do 15-go września roku ubiegłego zanotowano tylko 334 bankructw.

GAZETY LONDYŃSKIE DONOSZĄ Z PEKINU, że gubernatorowi prowincji Shansi zgłosiły poddania trzy dywizje i dwie brygady z armji gubernatora Fenga, która została rozbita ostatnio.

ROczne kursy OGRODNICZO-PSZCZELNICZE DLA KOBIEt i mężczyzn rozpoczynają się w dniu 1-go października. Zapisy przyjmuje codziennie kancelarja Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego w Warszawie przy ul. Wiejskiej 12, od godz. 9 — 3-ciej.

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ

W OSTATNICH DNIACH PRASA warszawska mówi w związku z nową sesją sejmową o sytuacji i o exposé p. Ministra Skarbu Klarnera.

„WARSZAWIANKA“ PISZE:

„Ponownemu zebraniu się Sejmu towarzyszyć będą bardzo rozpowszechnione w naszym politykowaniu napaści na Ciała Ustawodawcze. Gdybyż to były rzeczywe, światłe, troską o sprawę powszechną kierowane wskazywania niedomagań ustrojowych i rzeczywistych, które także od strony władzy ustawodawczej są u nas bardzo poważne. Takich rozważań jest niestety za mało a przydałyby się bardzo. Codzienną natomiast strawą są połajanki zdawkowe, bezmyślne, tanie, pusłe, które zresztą mają być na ostatnim targowisku politycznym jednym z uzasadnień dokonanego przewrotu“.

„GAZETA WARSZAWSKA Poranna“ patrzy czarno:

„Rząd obecny, mając pełne usta frazesów o konieczności pracy, oszczędności, sanacji finansów, faktycznie dokonał tego tylko, iż zepchnął finanse państwowe na równię pochyłą zwiększających się wydatków, po któ-

rej stoczyć się one mogą w przepaść ogromnego deficytu.

Inne strony działalności rządu zasługują również na baczną uwagę i należyte rozpatrzenie.“

„GŁOS CODZIENNY“ RADZI:

„Rząd musi szukać innych dróg. Pierwszą z nich — kredyt spożywczy. Druga — to ścisła kontrola rynku i produkcji, zorganizowana przy najszerszym współudziale społeczeństwa. Trzecia wreszcie to — współdziałanie rządu w dziedzinie obniżki taryf kolowych, podatku obrotowego w chlebie i artykułach pierwszej potrzeby i t. d.

Rynek krajowy musi być dyscyplinowany od wewnątrz. Metoda faworyzowania przywozu, w zasadzie może i słuszną, praktycznie grozi zbyt poważnymi niebezpieczeństwami.“

„RZECZPOSPOLITA“ OPO- nuje:

„Nie podzielamy zdania p. ministra Skarbu, że cały przemysł polski znajduje się w pomyślnej konjunkturze i jest w pełni uruchomiony, a nawet, jak p. minister Skarbu utrzymuje, niektóre jego działy wzrosły do wyjątkowego napięcia. Jeśli p. minister Skarbu miał na myśli węgiel, to to wysokie napięcie w najbliższym cza-

sie, z chwilą ukończenia się strajku górników w Anglji, zamieni się dla Polski utratą naszego rynku w tej właśnie Anglji, a co zatem idzie utratą pracy przez tysiące polskich górników. Sytuacja w przemyśle węglowym jest tem więcej poważna, że nie mamy możliwości zwiększenia zdolności przewozowej naszych kolei i portów. Co zaś do innych dziedzin przemysłu, to też jeżeli nie w gorszym, to w każdym razie w takim samym znajdują się one co i przemysł węglowym położeniu.“

„GŁOS PRAWDY“ PISZE O Sejmie:

„Nie suwerenne widać miny... Jeśli tu i owdzie z ożywieniem grupka poselska rozprawia — napewno okaże się, posłuchawszy, że źródłem pociechy jest zestawienie smutnych, złe wróżących o przyszłości momentów z życia kraju. Tak zwana „schadenfreude“. A rząd natomiast ma miny dobre. U pana premiera rzecz to zwyczajna. Że jednak nawet p. minister skarbu nawet zadebiutował wczoraj z trybuny sejmowej w roli męża rycerskiego zgoła temperamentu, animuszu i tupetu, to była prawdziwa niespodzianka. Pan prof. Bartel jest niewątpliwie dobrym reżyserem i potrafi nastrojem swym natchnąć współpartnerów na Sejmowej estradzie“.